



Kobiety dla przyrody



wstęp



Program „Zakorzenione” wspiera sołtyski, liderki lokalnych społeczności, członkinie kół gospodyń wiejskich z Polski wschodniej i południowej w budowaniu i wdrażaniu rozwiązań na rzecz środowiska i przyrody oraz wzmacniania lokalnych wspólnot. Ambasadorki i liderki programu są ważnym i zaufanym głosem lokalnych społeczności, włączając do działania nieprzekonanych i nieaktywnych wcześniej mieszkańców, występują w ich imieniu i apelują na forum publicznym o rozwiązania, które wzmacniają bezpieczeństwo lokalne, chronią „małą ojczyznę” i zapewnią lepszą przyszłość kolejnym pokoleniom.

Pierwsze działania rozpoczęliśmy w 2022 roku, ogłaszając mały program wsparcia na działania prośrodowiskowe. Wówczas sfinansowaliśmy trzy niewielkie projekty, które wybraliśmy z ponad 100 zgłoszeń. Wsparliśmy m.in. projekt pani Eli, który dotyczył systemu małej retencji przy budynkach takich jak szkoła, biblioteka, remiza, siedziba koła gospodyń w trzech miejscowościach gminy Kłomnice. W 2023 roku zwiększyliśmy skalę programu, by nie tylko

wspierać projekty, ale też budować sieć liderek, które w przyszłości będą mogły czerpać od siebie inspirację i wspierać się w działaniach. Rozpoczęliśmy współpracę z 67 kobietami z Polski południowej i wschodniej, które realizowały 173 działania w swoich lokalnych społecznościach, włączając do działania ponad 7000 mieszkańców. I tak z małych, jednorazowych grantów przeszliśmy w budowanie oddolnej sieci kobiet – „Zakorzenionych”.

Wreszcie w 2024 roku, w otwartym naborze, wybraliśmy i rozpoczęliśmy współpracę z 10 ambasadorkami, które otrzymały solidny pakiet edukacyjny, ale także miały możliwość realizacji własnych inicjatyw z mieszkańcami. Każda ambasadorka zbudowała swoją lokalną sieć liderek, które rozpoczynały działania na rzecz środowiska i przyrody. I tak w sieci Zakorzenionych jest 10 ambasaderek i ponad 100 liderek. Widzimy, jak z drobnych pomysłów wyrastają konkretne inicjatywy: m.in. projekty związane z retencją wody, zapobieganiem suszy, wspieraniem bioróżnorodności, lokalnego rolnictwa, niemarnowaniem żywności, transformacją energetyczną na obszarach wiejskich czy przeciwdziałaniem konsumpcjonizmowi, a także akcjom wspierającym lokalne bezpieczeństwo. I co najważniejsze: kolejni mieszkańcy włączają się w działania. Dziś to już ponad 16.000 osób, które znają i wspierają projekty na rzecz środowiska i przyrody w małych miastach i na obszarach wiejskich.

Jako partnerki programu wspieramy ambasadorki i liderki w ich działaniach i procesie rozwojowym. Nasza współpraca to nie tylko projekty, spotkania i edukacja, ale przede wszystkim nawiązane relacje. Podczas warsztatów, wyjazdów i rozmów online poznajemy się coraz lepiej, uczymy od siebie, wspieramy w chwilach zwątpienia i świętujemy wspólne sukcesy.

Ambasadorki i liderki to osoby, które mają odwagę mówić głośno o sprawach ważnych i trudnych: o tym, że przyroda wokół nas się zmienia, o problemach, z jakimi borykają się lokalne społeczności, o potrzebie troski o wspólne dobro, o tradycji, ale też o nowoczesności. Ich postawa inspirowa i pokazuje, że zmiana zaczyna się od rozmowy i słuchania, a potem od odwagi, by działać w zgodzie z własnymi wartościami.

Czujemy ogromną dumę i wdzięczność, że możemy wspierać „Zakorzenione”. To nie tylko program – to ruch kobiet, które patrzą w przyszłość z troską i wiarą, że wspólnie możemy więcej. To wspólnota, która daje siłę i nadzieję.

Program „Zakorzenione” współtworzą: Natalia Borkowska (Fundacja Aktywizacji i Rozwoju FARMa), Monika Roszak (Fundacja Roll-na), Marta Smejda (Grupa Sołtyski), Monika Szewczyk-Wittek (Fundacja Polska z Natury).

Program „Zakorzenione” jest finansowany ze środków Fundacji Polska z Natury.

www.zakorzenione.org

spis treści

Wolę posadzić drzewo AGATA CHMURA	6
Moc małych społeczności JUSTYNA JURCZYK	20
Wystarczy jeden telefon KARINA MAJCHERSKA	34
Od kawy do współdziałania DOMINIKA MARĆ	48
Czasem trzeba tupnąć REGINA MUSIAŁ	62
Trzeba robić swoje IWONA ORŁOWSKA	76
Nie patrzę na trendy WIOLA PIWOWARSKA	90
Fundamentem jest wspólnota KAROLINA SUSKA	104
Nauka rozmawiania AGNIESZKA WĄCŁAWSKA-HANKUZ	118
Nie jestem dyplomatką KRYSTYNA ZABRZEWSKA	130



fot. Silvia Pogoda

Wolę posadzić drzewo

NA OGÓŁ LUDZIE NIE CHCĄ ZMIENIAĆ ŚWIATA,
ALE PRAGNĄ WPŁYWAĆ NA SVOJE
NAJBLIŻSZE OTOCZENIE.

/ AGATA CHMURA /



**Trzeba
z młodymi usiąść
i porozmawiać,
a nie tylko gderać,
że są aspołeczni.**

AGATA CHMURA

Wolę posadzić drzewo

Jak trafiłaś w Bieszczady? Dlaczego rzuciłaś życie gdzie indziej, żeby tu zamieszkać?

Ja te Bieszczady wysłałam z mlekiem matki. Jako małe dziecko przyjeżdżałam tu z rodzicami pod namiot. Kończyli pracę w sobotę o 13.00, pakowali nas na pakę Stara i jechaliśmy nad zalew koło Soliny. Potem, już na studiach, wędrowałam po tych stronach z koleżankami. Wreszcie na piątym roku, w trakcie ferii pojechałam do kuratorium i poprosiłam o listę szkół w Bieszczadach, które mają wolne etaty dla polonistek. Pomysł wziął się stąd, że w tamtym czasie w miastach klasy liczyły po 40 uczniów. Trudno w takiej grupie o sensowną pracę. Nie było jeszcze szkół prywatnych, a ja chciałam nawiązywać bliższą więź z podopiecznymi. To się da zrobić tylko w mniejszej klasie. No więc wyposażona w taką listę, już w maju spakowałam plecak i ruszyłam w Bieszczady. Tak trafiłam do szkoły w Bóbrce i zamieszkałam w Solinie.

Zostałaś na dobre?

Wcale nie, bo wyszłam za męża, a mój mąż mieszkał w Szczecinie. Byliśmy małżeństwem na odległość. To się da zrobić, natomiast nie da się w ten sposób wychować dzieci, więc gdy mąż dostał pracę w Rzeszowie, to po urodzeniu dziecka szybko do niego dołączyłam. W Rzeszowie mieszkaliśmy 20 lat, ale niemal w każdy wolny weekend jechaliśmy w ukochane Bieszczady. Wiedzieliśmy,

że chcemy się tam kiedyś przenieść na stałe. I gdy syn poszedł na studia, powiedzieliśmy sobie: „Jak nie teraz, to kiedy?”. Wzięliśmy kredyt we frankach, kupiliśmy w Zwierzyniu dom do wykończenia i się przeprowadziliśmy.

Ale nie wróciłaś do pracy w szkole?

Nie. W Rzeszowie nie mogłam znaleźć etatu w szkole, więc moja późniejsza droga zawodowa była kręta. Natomiast po powrocie w Bieszczady zatrudniłam się w ośrodku Caritas jako edukator ekologiczny. To było jednoosobowe stanowisko w Centrum Promocji Obszarów Natura 2000. Mieliśmy ośrodek edukacyjny, który był finansowany z zewnętrznego projektu. Gdy pieniądze się skończyły, ksiądz dyrektor stwierdził, że nie zwijamy interesu, a infrastrukturę, którą udało nam się postawić, wciąż będziemy wykorzystywać do edukacji przyrodniczej. Jestem tu już 10 lat i robię rzeczy, którymi interesowałam się od małego, bo, szczerze mówiąc, w liceum chodziłam do klasy biologiczno-chemicznej, miałam iść na biologię, ale trzy miesiące przed maturą zmieniłam kierunek studiów na filologię polską. Biolog śmiertelnie się na mnie obraził. Po maturze na mój widok przechodził na drugą stronę ulicy. Mam nadzieję, że teraz patrzy na mnie z nieba i jest choć trochę dumny. Może wybaczył mi tamtą młodzieńczą zdradę biologii.

Jak wygląda Twoja praca w centrum promocji?

Już na samym początku zostałam rzucona na głęboką wodę. Ale mam łatwość w nawiązywaniu kontaktów, więc zwróciłam się do tych, którzy mogli mi pomóc: przede wszystkim to był Bieszczadzki Park Narodowy, parki krajobrazowe w Krośnie i Przemyślu, nadleśnictwa. Wszystkie one bardzo dużo mi dały. Jak tylko organizowały jakieś szkolenia, byłam na nie wciskana „tylnymi drzwiami”, bylebym tylko miała szansę na uzupełnienie wiedzy przyrodniczej. Moja praca w ośrodku dotyczy przede wszystkim dzieci kolonijnych. Jesteśmy atrakcją turystyczną, do której zaglądają różne grupy, ale kilka lat temu postanowiłam, że wyjdę z działaniami poza ośrodek. Zaczęłam zapraszać okoliczne szkoły. Nie szło mi najlepiej, frekwencja była mizerna, więc żeby temu zaradzić, dołączyłam do programu Karpackie Liderki, a potem do „Zakorzenionych”.

Twoje losy splatają się z opowieścią naszej innej ambasadorki, która zapowiedziała nam, że się zgłosisz. Prosiła, żeby w natłoku aplikacji koniecznie zwrócić uwagę na Twoją. Jak to się stało, że dziewczyna z Podhala poręczyła za koleżankę z Bieszczad?

Moim życiem rządzi w dużej mierze przypadek. A może ktoś z góry nim kieruje? Od znajomych dowiedziałam się o rekrutacji do programu Karpackie Liderki, ale w terminie pierwszego zjazdu organizowałam konferencję, więc uznałam,

że nie ma sensu się rejestrować, skoro i tak nie będę mogła pojechać. Zamiast tego namówiłam koleżankę. Potem okazało się, że szefowa fundacji, która organizowała tę inicjatywę, zna mnie z mojej działalności w ośrodku, więc gdy tylko okazywało się, że ktoś nie może przyjechać i w związku z tym jest wolne miejsce, odzywała się do mnie i namawiała, żebym się pojawiła. I tak po jakimś czasie na dobre dołączyłam do Karpackich Liderów. Poznałam tam kilka wspaniałych dziewczyn, m.in. Monikę, aktorkę z Warszawy, która rzuciła wszystko, żeby przenieść się w Beskid Niski i stworzyć tam teatr, oraz Krysę z Podhala, która też jest ambasadorką programu „Zakorzenione”. Chociaż projekt się skończył, to dalej tworzymy silną grupę i się wzajemnie wspieramy.

Ich historie są podobne do Twojej?

Nie zawsze. Jest na przykład młoda dziewczyna, bodaj najmłodsza z nas wszystkich, która bardzo chciała się w coś zaangażować, więc włączyła się w pracę szkolnej rady rodziców, a myśmy jej dały takiego kopa, że teraz jest sołtyską w swojej wsi. Często do nas dzwoni i się radzi: „Dziewczyny, wy będziecie wiedziały, jak to załatwić”. Staramy się jej pomagać.

Jak się pracuje na Podkarpaciu osobie, która pochodzi spoza lokalnej społeczności i zapuszcza w tym miejscu korzenie?

Nie ukrywam, że gdy usłyszałam o programie „Zakorzenione”, to od razu zamarzyło mi się, by porwać za sobą do aktywności tych, których mam najbliżej: sąsiadów i współpracowników. Bieszczady są nietypowym regionem, bo brakuje tu ciągłości tradycji. Po II wojnie światowej zostały wyludnione, niewielu mieszkańców może powiedzieć, że żyje tu z dziada pradziada. To tylko garstka, która wróciła z wywózek. Poza nimi mieszkańcy Bieszczadów to zbieranina różnych społeczności bez wspólnych korzeni. Te korzenie dopiero są zapuszczane. Moim zdaniem bieszczadzka przyroda jest bardzo ważnym elementem tożsamości i dlatego trzeba o niej mówić. Ale gdy działałam wyłącznie w ramach mojego ośrodka, nie mogłam się pochwalić imponującą frekwencją.

**Biolog
śmiertelnie
się na mnie
obraził. Po
maturze na
mój widok
przechodził
na drugą stronę
ulicy. Mam
nadzieję, że teraz
patrzy na mnie
z nieba i jest
choć trochę
dumny.**

Gdyby nie turyści, którzy widzieli plakat na płocie i zaglądali do środka, miałabym problemy z rozliczaniem projektów. Ale dzięki „Zakorzenionym” dostałam szansę wyjścia poza sam ośrodek. Jako ambasadorka programu organizuję wydarzenia w różnych lokalizacjach. I to jest strzał w dziesiątkę, bo zwykle przychodzi więcej osób, niż mamy miejsc.

Jak myślisz, z czego to wynika? Dlaczego wydarzenia w ramach „Zakorzenionych” są popularniejsze niż te, które organizujesz w ośrodku?

Może chodzić o to, że w Caritasie jestem postrzegana przez pryzmat zawodu. Ludzie są przekonani, że robię to, bo muszę, bo za to mam płacone. Natomiast jeśli widzą, że organizuję coś na przykład w Olszanicy, to ich zdaniem oznacza, że robię to z własnej woli i pasji. Jestem dumna, gdy po zakończonym wydarzeniu ktoś do mnie podchodzi i prosi, żeby koniecznie dać mu znać o następnym spotkaniu, żeby na pewno o tej osobie nie zapomnieć. W „Zakorzenionych” działam już drugi rok, mam za sobą pięć spotkań, ale stworzyłam też grupę dziewczyn, które są gotowe na własną rękę realizować mikroprojekty, czyli niewielkie, samodzielnie wymyślone i zorganizowane działania w ich własnych społecznościach, takie jak spacerzy badawcze czy warsztaty zielarskie, wszystkie skoncentrowane wokół ochrony przyrody. Te projekty otrzymują finansowanie z programu „Zakorzenione”. Ale dziewczyny nauczyły się też pisać wnioski i aplikować o finanse z różnych źródeł. Poza tym moje liderki wzajemnie się wspierają i sobie pomagają.

Zaczęłyście w 2024 roku od przeprowadzenia swoistej diagnozy okolicy, od zbadania potrzeb i oczekiwań mieszkańców.

Pierwszym pomysłem na temat działań była bioróżnorodność. W Bieszczadach panuje powszechne przekonanie, że tu był, jest i będzie las, więc generalnie w tej kwestii nie ma się czym przejmować. Ale po drodze pojawił się temat adaptacji do zmian klimatu. Od razu pojawiły się pytania: „Ale co macie na myśli?”. Walkę z suszą. „Nas to nie dotyczy, u nas suszy nie ma”. No to zapobieganie podtopieniom w wyniku nawałnic. „Nas to nie dotyczy, u nas nie ma nawałnic”. „Nas to nie dotyczy, nas to nie dotyczy...” było powracającą śpiewką. A potem przez cały maj 2025 lało, a po nim przyszła susza. Mieszkam w Bieszczadach od 10 lat, rozmawiałam z ludźmi, którzy żyją tu od 20 albo 30 lat, i wszyscy mówili, że czegoś takiego nie pamiętają. Moim zdaniem najważniejsze w programie „Zakorzenione” jest to, że trafia on również do osób, które mogą nie chcieć myśleć globalnie, albo nawet lokalnie, bo funkcjonują w skali mikro. Myślą przede wszystkim o sobie, swojej rodzinie, domu i ogrodzie. Nie chcą zmieniać świata, ale pragną wpływać na swoje najbliższe otoczenie.

W jaki sposób odpowiadacie na lokalne problemy?

Staramy się edukować. Zapraszamy wykładowców, znawców, ale z „charyzmą”, którzy potrafią porwać słuchaczy. Część działań edukacyjnych ma charakter praktyczny, np. uczymy zakładać ogrody deszczowe, więc wspólnie tworzymy ogród wzorcowy. Wciągamy w inicjatywy całe rodziny. Mamy zaplanowane działania podnoszące bioróżnorodność w otoczeniu – warsztaty rodzinne, w czasie których pokażemy, jak zaprosić ptaki, jeże, owady itp. do ogrodu, jakie rośliny wybrać i po co je sadzić. Jakie działania prowadzić, by rozwiązać lokalne problemy, a zarazem w atrakcyjnej formie, by przyciągnąć uczestników – warsztaty recyklingowe, na których będziemy szyć m.in. „jamniki” zapobiegające utracie ciepła przez drzwi balkonowe. Staramy się organizować spotkania w różnych miejscowościach, aby dotrzeć do jak największej liczby mieszkańców gminy czy regionu.

Opowiedz o swojej sieci liderek. Jak udało Ci się ją stworzyć?

Zaczęłam od rozmowy ze znajomymi i osobami, które odwiedzały mnie w ośrodku. Pytałam o to, co im się nie podoba w naszej miejscowości, czym by się zajęły. Razem szukałyśmy tematów, których realizacja byłaby w naszym zasięgu. Nie wszystkie moje liderki są stąd. Mam na przykład dziewczynę, która mówiła, że długo była w swojej okolicy samotnym głosem wołającym na puszczy. Ciągle podejmowała tematy związane z ekologią i ochroną bioróżnorodności, ale nikt jej nie słuchał, a ona nie potrafiła przebić się przez ścianę obojętności. Trafiła do mnie, teraz jest jedną z najbardziej aktywnych liderek. Dzięki „Zakorzenionym” nawiązała kontakty i samodzielnie organizuje warsztaty w Ustrzykach Dolnych, 60 kilometrów ode mnie.

To Twoim zdaniem efekt wzajemnego wspierania się?

Siłą kobiet jest umiejętność pomagania sobie nawzajem. Kiedy trzeba, dajemy sobie motywującego kopa, innym razem podsuwamy chusteczkę i nadstawiamy ramię, na którym ktoś może się wypłakać. Tak to u nas wygląda, tak to działa.

Z czego w swojej działalności jesteś najbardziej dumna?

Właśnie z tego, o czym mówimy – mam silne wsparcie w grupie kobiet, które myślą podobnie do mnie, są samodzielne i aktywne. Nie jestem dla nich matką kwoką, mogę je wspierać, pomagać, szczególnie jeśli którejś brakuje obycia z językiem projektów, ale nie jest tak, że trzeba coś robić za nie. Jestem dumna, że to, co zaczęłyśmy robić rok temu. Dziś przynosi to efekty.



1



3



4



2



5

1 / Wydarzenie „Gotowe na zmiany” w ramach programu „Zakorzenione” – 2025

2 / Spotkanie dla kobiet, które chcą dbać o dziedzictwo przyrodniczo-kulturowe w ramach programu „Zakorzenione” – 2024

3 / Wydarzenie „Gotowe na zmiany” w ramach programu „Zakorzenione” – 2025

4 / Wieczornik damski w ramach programu „Zakorzenione” – 2024

5 / Spacer zielarski – 2024

Kiedy trzeba, dajemy sobie motywującego kopa, innym razem podsuwamy chusteczkę i nadstawiamy ramię, na którym ktoś może się wypłakać.

A co Ty masz z tego i gdzie szukasz motywacji do działania? Niektórzy znajdują ją w tradycji, inni w religii.

Religia na pewno pojawia się w tle mojego działania. Swego czasu dużo pracowałam z encykliką papieża Franciszka i przestaniem św. Franciszka, bo wiązało się to z projektem Caritas Laudato si'. Sama zrozumiałam wtedy, że jako chrześcijanka mam obowiązek upominać się o ochronę przyrody, walczyć o nią. Rozumiem pojęcie grzechu ekologicznego. Gdy zaczynam warsztaty, często wspominam o swoim własnym grzechu – mam na myśli czas, gdy wszyscy zachłystnęliśmy się jednorazowymi foliówkami, reklamówkami. Moja mama po powrocie ze sklepu składała je i chciała używać wiele razy, a ja bezmyślnie mówiłam: „Wywal to, na następnych zakupach dostaniesz nową”. Dopiero w projekcie Caritas Laudato si' tak naprawdę zrozumiałam, czym jest asceza św. Franciszka i na ile moje działania wynikają ze świadomości ekologicznej, a na ile z wygody i przyzwyczajęń. Nie jestem zwolenniczką manifestowania tego, co się robi. Zamiast godzinę gadać, wolę posadzić drzewo. Jak coś organizuję, to staram się kłaść nacisk na stronę praktyczną.

Na jakich zmianach w otoczeniu Ci zależy?

Zwiększanie bioróżnorodności, brak chemii, zdrowe nawyki w ogrodzie – to wszystko moje tematy. Ogrody deszczowe, czyli takie, w których bujna roślinność zatrzymuje wodę w krajobrazie, to odpowiedź na potrzeby naszych czasów, na powracającą suszę. Prezentują się wspaniale. Marzy mi się, by wszyscy mieli piękne ogrody.

A jeśli chodzi o zmiany systemowe? Takie, których jako mieszkańcy możecie oczekiwać od władz lokalnych, aby móc skutecznie adaptować się do zmian klimatu i zmniejszać presję na środowisko?

Mój syn, który usłyszał to pytanie, rzucił tylko za moimi plecami: „Do ludzi przemawia wsparcie finansowe”. Ale ja nie jestem tego taka pewna. Gdy kilka lat temu ruszył program Czyste Powietrze, związany z wymianą pieców i instalacją fotowoltaiki, aby pojawiło się dofinansowanie, musiał zgłosić się konkretny procent wszystkich mieszkańców. Pieniądzy było dużo, kwoty wysokie, a chętnych u nas zabrakło. Dlatego moim zdaniem nic nie zastąpi edukacji, choć ludzie bywają na edukację bardzo oporni. Edukacja jest skuteczna wtedy, gdy się ją przemyca mimochodem. Wtedy można pokonać barierę nieufności, która pojawia się zawsze, gdy chce się człowieka przekonać do jakiejś zmiany. Zawsze mówię prowadzącym: żadnego komputera, żadnych prezentacji. One się ludziom za bardzo kojarzą z wykładami. To ma być luźna rozmowa. Zresztą warsztatów nie trzeba nazywać ekologicznymi. Mogę w trakcie zajęć przy okazji rzucić, że to, co tu robimy, to jest przecież ekologia, troska o otoczenie. „Laudato si'” to bardzo dobre hasło, bo oznacza właśnie troskę o wspólny dom. Tym domem może być ciało, może być nim ogród, dom, „mała ojczyzna”, a jednocześnie cały świat. Rozmawiałam ostatnio z paniami z koła gospodyń, z którym próbujemy robić coś razem. Panie żaliły mi się, że one nie mają już siły, bo są stare, a młodym ze wsi to się nic nie chce. A ja na to: „Może nic im się nie chce, bo nie pasuje im to, co wy robicie? Może chcą czegoś zupełnie innego?”.

A co z mężczyznami? Im się chce?

Opowiem anegdotę: na pierwsze organizowane przeze mnie spotkanie przyszło dwóch panów. Pojawili się 15 minut po rozpoczęciu, pod pretekstem, że „oni po żony”. I słuchali, o czym rozmawiamy. Z kolei koleżanka zaproszona na spotkanie w ramach „Zakorzenionych” mówiła mi, że jej mąż czuje się dyskryminowany, bo sprawy, którymi się zajmujemy, jego też interesują, a jest z założenia wykluczony. No to go zaprosiłam. I kiedy ta koleżanka przyjechała sama, zapytałam: „gdzie mąż?”, a ona na to, że ktoś musiał przecież zostać w domu z dziećmi. Krótko mówiąc: wydaje mi się, że nie miałabym problemu z zaangażowaniem mężczyzn w działania proekologiczne. Oni są obcy z różnymi inicjatywami. Takie uroki życia na wsi, choćby wśród leśników.

Na koniec chcemy Cię zapytać o Twoją wizję najbliższej okolicy za 10 lat. Jak będzie wyglądała Twoja miejscowość? Jaką byś chciała?

Marzy mi się, żeby mieszkańcy wyszli z domów i chcieli coś wspólnie robić. Mam na myśli sąsiedzką samopomoc, ale nie w sensie wyręczania się w zakupach, tylko raczej wspólnej pracy na rzecz miejscowości. To nie musi być

społeczny ogród, bo na wsi każdy ma przecież swój, ale wymiany doświadczeń czy zakasywania rękawów we wspólnej sprawie nigdy za wiele, a tego dziś brakuje. Musimy też wciągnąć do rozmowy młodsze pokolenie, zapytać, czego młodzi by chcieli. Bo na razie tylko powtarzamy, że oni się niczym nie interesują. Sąsiadka, niby aspołeczna dziewczyna, biega półmaratony. To może właśnie tego jej brakuje? Wydarzeń promujących zdrowy tryb życia? Może potrzebuje siłowni? Trzeba z młodymi usiąść i porozmawiać, a nie tylko gderać, że są aspołeczni.

rozmawiały:

Natalia Borkowska, Monika Roszak, Marta Smejda, Monika Szewczyk-Wittek



Agata Chmura

Mieszkanka Bieszczad, edukatorka ekologiczna w Centrum Promocji Obszarów Natura 2000 przy Ośrodku Caritas w Myczkowcach. Specjalizuje się w edukacji przyrodniczej dzieci, młodzieży i dorosłych oraz prowadzi warsztaty zielarskie. Absolwentka studiów podyplomowych z zakresu ziół, suplementów diety i kosmetyków naturalnych. Autorka i realizatorka wielu projektów ekologicznych, uczestniczka projektu Karpackie Liderki. Jako ambasadorka programu „Zakorzenione” aktywizuje społeczność lokalną do działań na rzecz ochrony środowiska i bioróżnorodności.



fot. Silvia Pogoda

Moc małych społeczności

ZWRÓCENIE SIĘ DO SĄSIADA Z PROŚBĄ O POMOC
NIGDY NIE BYŁO ODBIERANE JAKO NADUŻYCIE.

/ JUSTYNA JURCZYK /



**Tak właśnie
powinna działać
każda wspólnota
czy wieś, żeby
było wiadomo,
kto ma zakwas,
kto ogórki,
kto maliny.**

JUSTYNA JURCZYK

Moc małych społeczności

Kiedy zaczęły się Twoje działania na rzecz środowiska?

Moja droga rozpoczęła się 13 lat temu, wraz z narodzinami mojej córki. Była chorym dzieckiem i to właśnie z powodu jej zdrowia zainteresowałam się ziołami i naturalnymi sposobami wspierania życia. Zaczęłam zbierać rośliny wokół domu, suszyć je, dotykać, wąchać, smakować. Nagle okazało się, że ta bliskość z naturą realnie poprawia nasze zdrowie i codzienność. Zrozumiałam wtedy coś fundamentalnego, że musimy uczyć się słuchać siebie i natury wszystkimi zmysłami. Nie tylko patrzeć i słyszeć, ale też smakować, wąchać i dotykać, bo dopiero wtedy naprawdę czujemy życie. To doświadczenie stało się dla mnie impulsem do dalszej nauki, studiów podyplomowych z ziołolecznictwa i pierwszych prób tworzenia naturalnych kosmetyków.

Jak poszło?

Jako biznes – niełatwo. Przepisy, koszty, formalności to duża przeszkoda. Produkcja kosmetyków to trudny temat. Skupiłam się na naturalnych świecach i organizowałam warsztaty z ich tworzenia. Przychodziły głównie kobiety, zachwycone i zaskoczone tym, jak bardzo parafina różni się od naturalnego wosku i że można własnoręcznie przygotować coś wyjątkowego. Z czasem okazało się jednak, że największą wartością nie był sam produkt, lecz spotkanie z drugim człowiekiem. Warsztaty, podczas których uczyłam innych tworzyć świece,

Zauważono, że nie przyszłyśmy z gotowymi rozwiązaniami, lecz chcemy słuchać mieszkańców i szukać odpowiedzi razem z nimi.

a później również naturalne kremy, stały się czymś więcej niż nauką. Były przestrzenią do rozmowy, wymiany doświadczeń i radości ze wspólnego tworzenia. To właśnie w takich chwilach czułam, że siła rodzi się ze wspólnoty, a nie z samotnego działania. Przyjaciele podpowiedzieli mi wtedy, abym założyła fundację i rozpoczęła takie formy edukacji na szerszą skalę. Później pojawiły się „Zakorzenione”.

Skąd pomysł, by dołączyć do programu „Zakorzenione”?

Czasami życie daje nam znaki. Kilka osób, niezależnie od siebie, podestało mi link do programu „Zakorzenione”. Pomyślałam: „To musi być coś dla mnie”. I rzeczywiście – był to idealny moment, bo akurat zastanawiałam się

nad kolejnymi krokami w swoich działaniach. Dzięki wcześniejszym przedsięwzięciom na rzecz ochrony środowiska i aktywności mojej fundacji coraz bardziej interesowała mnie edukacja i praca z lokalnymi społecznościami. Byłam aktywna na Facebooku, budując bazę kontaktów i zachęcając ludzi do współpracy, więc sygnały od znajomych były dla mnie dodatkowym potwierdzeniem, że warto spróbować. Kiedy zostałam ambasadorką programu, moim zadaniem było stworzenie sieci liderek. Kluczowe było dla mnie to, żeby były to kobiety, które lubią pracować z ludźmi, mają lokalne kontakty albo chcą angażować się w „zielone” inicjatywy. Nasze działania rozpoczęłyśmy od diagnozy potrzeb mieszkańców gminy Stawiguda. Zależało mi wtedy, by dowiedzieć się od ludzi, co dla nich jest ważne i czego potrzebują. To działanie zwróciło uwagę gminy. Zauważono, że nie przyszłyśmy z gotowymi rozwiązaniami, lecz chcemy słuchać mieszkańców i szukać odpowiedzi razem z nimi. Na początku wydawało mi się, że największym problemem w gminie są śmieci. Z czasem, po wielu rozmowach z liderkami, wspólnie doszłyśmy do wniosku, że najważniejsze jest budowanie lokalnej wspólnoty.

W ramach programu „Zakorzenione” udało się zrealizować mnóstwo działań: Święto Ziół, warsztaty tworzenia naturalnych kosmetyków i środków czystości, wspólne gotowanie i degustację potraw kuchni roślinnej, szycie toreb wielorazowych, a nawet Rzeczysferę – pierwszą w gminie wyprzedaż garażową

połączoną z warsztatami. Każde z tych wydarzeń było pretekstem do spotkania, rozmowy, dotykania i wążania ziół, wspólnego przebywania. To właśnie wtedy czułam najmocniej, że wspólnota naprawdę się rozwija.

Wcześniej miałaś poczucie, że wiesz nie jest wspólnotą?

Moja gmina jest bardzo specyficzna. To jedna z najszybciej przyrastających gmin w Polsce. Ludzie często nie znają sąsiadów, doskonale radzą sobie w obrębie swoich czterech ścian. Ale wierzę, że wspólnotę zawsze można odbudować. Czasem wystarczy małe spotkanie, wspólne gotowanie, spacer czy rozmowa przy stole.

Relacje nie zawsze rodzą się łatwo, ale jeśli jesteśmy razem, dotykamy, smakujemy, czujemy, to budujemy mosty. Wierzę, że kontakt realny, prawdziwy jest nam i naszym dzieciom bardzo potrzebny.

Coraz częściej dochodzę do wniosku, że jeśli coś ma uratować nasz świat, to właśnie wspólnota. Ogromną siłę dają mi kobiety, które stoją obok mnie. Tworzą ze mną sieć „Zakorzenionych” – nie dlatego, że ktoś im za to płaci, ale dlatego, że wierzą w sprawę. Widzą, że naszym celem jest konkretna zmiana i chcą być jej częścią. Stały mi się bardzo bliskie i wiem, że zawsze mogę na nie liczyć.

Jak udało Ci się wciągnąć je do projektu?

Nie szukałam kopii siebie – szukałam różnorodności. Każda z nas wnosi coś innego. Czasem ktoś mówi: „ekologia mnie nie interesuje”, ale przychodzi na warsztaty wspólnego gotowania i nagle odkrywa w tym radość. I to właśnie kuchnia okazuje się magiczna, bo angażuje wszystkie zmysły. Szukałam osób z doświadczeniami, których sama nie miałam, albo dziewczyn z gminy, których nie znałam. A jednak udało nam się dogadać, bo we wspólnym gotowaniu odkryłyśmy coś więcej niż jedzenie. Odkryłyśmy przestrzeń do spotkania, współdziałania i budowania wspólnoty.

Co było wynikiem tych spotkań?

Zamiast wystawiać gotowe jedzenie, zapraszamy ludzi do wspólnego przygotowania posiłków. Dzięki temu spotkanie staje się doświadczeniem, w którym każdy może wziąć udział. Okazało się również, że najlepszym sposobem angażowania ludzi jest bezpośredni kontakt, czyli osobiste zaproszenie, rozmowa, spojrzenie w oczy. To buduje więź, której nie da się stworzyć w świecie online. Kiedyś myślałam, że wystarczy przygotować plakat albo ogłoszenie w internecie, a zainteresowani sami się zgłoszą. Teraz wiem, że to zupełnie nie działa. Dziś odzywam się np. do dyrektorki szkoły i słyszę od niej, że nigdy nie uczestniczyła w żadnych warsztatach, nie ma czasu, a ekologia to nie jej temat. A ja pytam: „A może przyjdiesz na wspólne gotowanie?”. Przyszła i była



1



3



2



4

1 / Wydarzenie „Razem dla sąsiedzkiej wspólnoty i przyrody” w ramach programu „Zakorzenione” – 2025
2 / Warsztaty kuchni roślinnej w ramach programu „Zakorzenione” – 2024

3, 4 / Wydarzenie „Cuda Wianki” – 2025



5, 7 / Warsztaty kuchni zero waste – 2024

6 / Wydarzenie „Dobry Klimat to Ty” w ramach programu „Zakorzenione” – 2024

8 / Warsztaty zielarskie w plenerze – 2025

zachwycona. Już wtedy zaczęła mieć swoje pomysły na działanie. Kilka tygodni później spotykamy się na innym wydarzeniu, a ona podchodzi do naszego stoiska razem ze swoją siostrą i mówi: „To jest Justyna, nasza lokalna ekolożka. Nie przywiązuje się do drzew, ale ma grupę – «Zakorzenione». Zbiera kobiety w grupę i razem działają na rzecz środowiska”. Wystarczyło jedno spotkanie, by stała się przekąźnikiem wiedzy o naszej działalności i zaczęła inspirować innych.

Jak układa się współpraca z samorządem?

Wspólnie z liderkami i gminą stworzyłyśmy konkurs „Dobry Klimat to Ty”, aby zachęcić mieszkańców do zaprezentowania swoich codziennych działań ekologicznych. Założenie konkursu opierało się na przekonaniu, że nawet małe gesty mają znaczenie. To, co dla jednej osoby wydaje się oczywiste, dla innych może stać się inspiracją. Zdjęcia osób zbierających śmieci podczas grzybobrania czy pokazujących własny kompostownik potwierdziły, że każdy może wnieść swój wkład.

W ramach programu „Zakorzenione” odbyły się cztery spotkania, a mieszkańcy byli zachęceni do przesyłania zdjęć dokumentujących proekologiczne praktyki. Konkurs zakończył się sukcesem, bo zgłosiło się dużo osób, a wójt ufundował nagrody dla wszystkich, którzy wzięli w nim udział. Wspólnie podjęte działania pokazały, że wielkie zmiany zaczynają się od małych kroków, a współpraca z instytucjami może znacząco poszerzyć możliwości.

Obie strony były zadowolone?

Tak, bo współpraca oparta na dialogu i wspólnym celu przynosi korzyści wszystkim. Sukces konkursu pokazał, że mieszkańcy chcą się angażować, a gmina jest otwarta na oddolne inicjatywy. Dzięki temu pojawiły się kolejne propozycje działań, a nasza relacja z samorządem zaczęła się naturalnie pogłębiać. Dziś współpraca z gminą rozwija się coraz bardziej. Nie ogranicza się już tylko do pojedynczych projektów, ale staje się długofalowym procesem budowania wspólnej odpowiedzialności za lokalną społeczność i środowisko.

Czyli w swoim aktywizmie łączysz to, co może zrobić każdy z nas, z potrzebą działań systemowych.

Wierzę w moc małych społeczności. To właśnie małe działania, podejmowane razem, mają największą siłę, bo dzięki nim ludzie czują, że są częścią czegoś większego. Nasze inicjatywy objęły już całą gminę, angażując mieszkańców, sołectwa, lokalne organizacje i koła gospodyń wiejskich. Nieważne, czy organizujemy sobótkę, czy spotkanie na temat czystego powietrza. Wiem, że zawsze znajdą się ludzie, którzy przyjdą, włączą się w akcję i wezmą odpowiedzialność

za wspólne działanie. Dzięki tej sieci wiem, że mogę liczyć na wsparcie tak samo, jak inni mogą liczyć na mnie. Czasami biorę na siebie zbyt wiele i nie nadążam, ale wtedy od razu pojawiają się liderki, które przygotowują poczęstunek albo pomogą w organizacji. Tak właśnie powinna działać każda wspólnota czy wieś, żeby było wiadomo, kto ma zakwas, kto ogórki, kto maliny, a prośba o pomoc nigdy nie była odbierana jako nadużycie. To daje ogromną siłę i pewność, że razem możemy naprawdę wiele.

Dla mnie aktywizm lokalny to nie tylko działanie tu i teraz, ale też sposób na budowanie trwałych zmian systemowych. Małe inicjatywy pokazują, co naprawdę działa i czego ludzie potrzebują. Jeśli takie rozwiązania są zauważane i wdrażane szerzej przez gminy, samorządy czy instytucje, to właśnie w ten sposób oddolna energia staje się częścią większej zmiany. Wierzę, że bez zrozumienia lokalnych potrzeb i wspólnotowego podejścia nie da się tworzyć skutecznych systemowych rozwiązań.

Da się przełożyć taką więź na większą skalę?

Tak. Każde sołectwo może budować własną sieć wsparcia, a po połączeniu wszystkie razem tworzą jeszcze silniejszą całość. Często podczas warsztatów okazuje się, że ludzie mają ogrom zasobów i umiejętności, które wystarczy ze sobą połączyć, by zadbać o poczucie bezpieczeństwa wobec rosnących zagrożeń, także klimatycznych.

Teraz rozpoczynam projekt „Lokalnie Dzielni”, którego celem jest skierowanie ludzi ku sobie nawzajem, w obrębie ich małych społeczności. Gmina Stawiguda liczy 13 sołectw i marzę o tym, by w każdym z nich zbudować taką lokalną wspólnotę.

Podczas jednych z warsztatów w klubie seniora rozmawialiśmy o robieniu octu jabłkowego. Jedna z pań powiedziała, że nie może go zrobić, bo nie ma „prawdziwych” jabłek, tylko ze sklepu. Zapytałam więc: „Naprawdę żadna z was nie ma własnych jabłek, niepryskanych?”. I szybko okazało się, że dwie albo trzy panie mają i co więcej, potrafią zrobić ocet. Tak to zwykle bywa: mamy mnóstwo uśpionych zasobów i kompetencji, o których zapominamy. Wolimy iść do sklepu, zamiast zajrzeć obok, do sąsiadki, do wspólnoty.

Dlatego chcę rozwijać takie spotkania we wszystkich sołectwach. Najpierw zaproszę wójta, wydział ochrony środowiska i sołtysów, by przedstawić ideę, a potem przeniosę ją na grunt każdej wsi. Mając wsparcie sołtysów, będziemy mogli rozmawiać bezpośrednio z mieszkańcami i razem odbudowywać to, co w codziennym pędzie często tracimy.

Skąd czerpiesz siłę do działania?

Od ludzi, którzy mnie otaczają, czyli od rodziny, przyjaciół, przyjaciółek z dzieciństwa. To moja podstawowa sieć wsparcia. Dzięki nim wiem, że niezależnie od sytuacji mam się do kogo zwrócić, czy chodzi o chore dziecko, czy zwykłą potrzebę wygadania się. To właśnie ta codzienna obecność ludzi daje mi energię do działania na większą skalę.

Czym dla Ciebie jest siła kobiet?

Kobiety mają niezwykłą zdolność łączenia wrażliwości ze sprawczością. Potrafią angażować wszystkie zmysły, widzieć, słyszeć, dotykać i odczuwać świat w pełni. Dzięki temu nie tylko lepiej rozumiemy potrzeby innych, ale też potrafimy tworzyć przestrzeń, w której każdy czuje się ważny i zauważony. Siła kobiet to także empatia, ta codzienna, mała, ale ogromnie potrzebna. To umiejętność wsłuchania się w emocje, „otulenia” słowem, podania dłoni we właściwym momencie. A jednocześnie to odwaga i determinacja, by działać mimo przeciwności. Dlatego tak bardzo cenię wspólnotę kobiet. Gdy spotykamy się razem, tworzymy coś, co nazwałabym siecią serc – wspólnotę, w której jedna daje drugiej nadzieję i wsparcie. Wierzę, że właśnie w tym tkwi nasza moc: w łączeniu wrażliwości z siłą działania, w trosce, która staje się paliwem do zmiany świata.

Jak przekonać nieprzekonanych? Jak włączyć do działania tych mieszkańców, którzy długo byli nieaktywni.

Nie zmienimy nikogo na siłę, ale możemy dać przykład i zaprosić do wspólnoty. Sieć osób zaangażowanych przyciąga innych i działa jak zapach świeżo zerwanej mięty: sam się roznosi, nie trzeba go reklamować. Często się nad tym zastanawiam, dlaczego w niektórych organizacjach coraz trudniej zachęcić osoby do działania, pojawiają się pewne podziały, których kilka lat temu nie było. Jak przekonać nieprzekonanych? Najskuteczniejszą metodą jest duża sieć osób przekonanych, które pokażą drogę i przyciągną innych. Dlatego dbam o moje liderki. Gdy potrzebuję wsparcia przy wydarzeniu, wiem, że zawsze znajdą kogoś, kogo mogą zaprosić, i mogę na nie liczyć, a one wiedzą, że mogą liczyć na mnie.

**Szacunek to
docenienie
cudzych
poglądów,
nawet jeśli są
odmienne od
naszych.**

Czym jest dla Ciebie szacunek w działaniach społecznych?

Szacunek to docenienie cudzych poglądów, nawet jeśli są odmienne od naszych. Nawet jeśli ktoś się z nami nie zgadza, możemy znaleźć wspólną płaszczyznę. W gruncie rzeczy łączy nas troska o to, by nie marnować zasobów, żyć zdrowiej i mądrzej. Czasem wystarczy dać przestrzeń, by każdy mógł wyrazić swoje zdanie. Często okazuje się, że w tym, co ważne, jesteśmy bliżej siebie, niż początkowo myśleliśmy.

Jak wyobrażasz sobie Stawigudę za 10 lat?

Marzę o tym, żeby każdy miał swój ulubiony kubek czy kielich, który zabiera na spotkania, i żeby jednorazówki odeszły w niepamięć. Ale jeszcze bardziej marzę o tym, żebyśmy byli ze sobą naprawdę połączeni. Żeby każdy wiedział, do kogo zadzwonić, gdy zabraknie ziemniaków, zachoruje dziecko albo zwyczajnie dotknie nas lenistwo; żeby była tablica, na której mieszkańcy zapiszą, co chcieliby oddać bez oczekiwania niczego w zamian. Żebyśmy o siebie dbali.

rozmawiały:

Natalia Borkowska, Monika Roszak, Marta Smejda, Monika Szewczyk-Wittek



Justyna Jurczyk

Zielarka, fitoterapeutka i właścicielka marki Lamium, zajmującej się produkcją naturalnych świec, oraz prezeska Fundacji Candelaria. Moderatorka Mozaiki Klimatycznej, od lat zaangażowana w działania proekologiczne i edukacyjne. Prowadzi warsztaty oraz inicjatywy wspierające rozwój i integrację społeczności lokalnych. Zakochana w naturze i jej sile, wierzy, że prawdziwe spotkania „twarzą w twarz” są najważniejsze i mają sens. W ramach programu „Zakorzenione” działa na rzecz mieszkańców gminy Stawiguda, wspierając lokalne inicjatywy ekologiczne i społeczne.



fot. Silvia Pogoda

Wystarczy jeden telefon

ZAWSZE UWAŻAŁAM SIĘ ZA EKOŁOŻKĘ, MOŻE TROCHĘ
SZALONĄ. KONTAKT Z INNYMI „ZAKORZENIONYMI”
POKAZAŁ MI, ŻE NIE JESTEM W TYM SAMA.

/ KARINA MAJCHERSKA /



**Oddolnie możemy
robić wielkie
rzeczy. Stawiając
małe kroki,
można dojść do
wielkich celów.
Wypracować
istotne zmiany.**

KARINA MAJCHERSKA

Wystarczy jeden telefon

Skąd jesteś?

Z Warmii, z Lidzbarka Warmińskiego. Kopernik u nas przesiadywał, a Krasicki pisał bajki o przyrodzie. Urodziłam się właśnie w Lidzbarku, ale na studia przenieśliśmy się do Poznania, skąd pochodzi mój mąż. Jego z kolei poznałam trochę wcześniej, w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. I tak mnie zbajerował, że pojechałam za nim do Wielkopolski. Po 20 latach życia w Poznaniu uznaliśmy, że dość, pora uciec z miasta i zwolnić. Gadów wcześniej nie znałam, gdy pierwszy raz usłyszałam tę nazwę, pomyślałam, że to gdzieś na Syberii. A dziś czuję, że to jest moje miejsce na ziemi. Miejsce, które chcę kształtować i ulepszać. Mamy tu we wsi zabytkowy dzwon, który kiedyś dzwonił przy każdej ważnej dla społeczności okazji. Na przykład wtedy, gdy rodziło się dziecko. A teraz dzwoni tylko z powodu czyjejś śmierci. Przeglądałam ostatnio stare dokumenty, przeczytałam o tej tradycji i teraz mówię ludziom we wsi: „Spójrzcie, zgodnie z tradycją należy dzwonić także z okazji urodzin! Więc i my dzwońmy!”. Wprowadzenie nawet tak drobnej i symbolicznej zmiany wymaga dużej pracy.

Czym jest Twoim zdaniem siła małych społeczności?

Oddolnie możemy robić wielkie rzeczy. Stawiając małe kroki, można dojść do wielkich celów. Wypracować istotne zmiany. Taki jest właśnie sens zajęć w małych grupach warsztatowych, podczas których pokazujemy dziewczynom, że

choć na co dzień czegoś nie zauważamy, to może to zmienić nasze życie. Mam na myśli tak prozaiczne czynności, jak choćby gotowanie zupy z kuchennych resztek albo robienie biżuterii z recyklingu, np. z plastikowych butelek. Nieustannie mówię koleżankom: „Nie kupujcie chińszczyzny, same to zróbcie!”.

To są lekcje, które wyciągnęłaś z programu „Zakorzenione”?

W programie spotykają się kobiety, które mają wewnętrzną siłę, za pomocą której starają się polepszać warunki do życia, zarówno swoje, jak i cudze, przede wszystkim w kwestiach ochrony środowiska. Zawsze uważałam się za ekologkę, może trochę szaloną. Kontakt z innymi „Zakorzenionymi” pokazał mi, że nie jestem w tym sama. Zdobyłam siłę do dalszych działań. Ostatnio organizowaliśmy dla dzieci warsztaty wycieczkowe w Malborku. Tłumaczyliśmy, że Krzyżacy w XV wieku nie wiedzieli, co robić z odpadami i wyrzucali je na pole lub do rzeki, a dziś, w XXI wieku, gdy mamy szeroki dostęp do wiedzy i techniki, nie możemy postępować jak Krzyżacy. Takie stwierdzenia szybko trafiają do dzieci.

Jesteś sołtyską w swojej wsi. W ubiegłym roku przeprowadziłaś diagnozę potrzeb mieszkańców. Czego się dowiedziałaś?

Problemem numer jeden wciąż wydaje się niestety kwestia spalania śmieci. Przy wsparciu finansowym gminy i przeznaczeniu części funduszu sołectkiego włączyliśmy się w program Czyste Powietrze, finansowany przez Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Wymieniliśmy piec w świetlicy na pompę ciepła, zainstalowaliśmy fotowoltaikę. Dostaję telefony od mieszkańców zapytaniem: „Jaki piec kupić, żeby był ekologiczny? A jaką pompę ciepła?”. Ale kilka rodzin wciąż jest na „nie”. I wcale nie potrafią uzasadnić swojego stanowiska. Nie, bo nie. Wydaje mi się, że chodzi o lęk ekonomiczny – obawę, że nie dadzą rady finansowo w kwestii opłat za prąd, więc dalej stosują piece, które nazywamy „kopciuchami”.

Rozumiesz te obawy?

To są gospodarstwa, w których jest biednie. Gmina tym ludziom w jakiś sposób pomaga, dostają produkty żywnościowe, ale tak naprawdę przydałby im się program Nowy Dom, żeby to wszystko wyremontować. Poza tym ludzie boją się ogrzewania z sieci energetycznej, bo jak tylko przychodzą burze, istnieje zagrożenie pojawiania się przepięć w sieci energetycznej, co może skutkować uszkodzeniem urządzeń elektrycznych. Często zdarza się, że jest przerwa w dostawie prądu i nagle się okazuje, że nie ma możliwości zagotowania wody w czajniku.

To są wyzwania, z którymi się mierzycie?

Przychodzi większy wiatr, łamie drzewa i mamy przerwę w dostawie prądu. Wszyscy wtedy mówią: „Nie ma wyjścia, trzeba kupić agregaty”. Na agregacie można funkcjonować tak długo, jak dużo ma się paliwa. Musi on również być odpowiedniej mocy, aby zapewnić zapotrzebowanie prądu, który jest niezbędny do prawidłowego funkcjonowania urządzeń gospodarstwa domowego.

Takich przerw w dostawach jeszcze nie mieliśmy, ale dwie, trzy godziny bez prądu to jest norma. Jak tu przy takich przerwach kontrolować pranie albo gotowanie? Powtarzam sąsiadom, jak mantrę, że niestabilna pogoda to jest nasza przyszłość, do której musimy się zaadaptować. Ona zawsze była zmienna, ale teraz zmienia się cały klimat i ta zmiana będzie ogromna. Już to widzimy. Deszcze przynoszą podtopienia i woda stoi na polach, gdzie uprawiane jest zboże. Razem z radą sołectką planuję przy świetlicy zbudować instalację odprowadzającą wodę opadową z budynku świetlicy do stawu. Staw był od zawsze, ale teraz latem woda ze stawu wysycha. Tymczasem wiosną z tego stawu korzystają ptaki, wyprowadzają lęgi, a potem uciekają, bo woda znika.

Kolejna zmiana: miejsce, które słynie z wody, z jezior, zaczyna wysychać...

Widzimy to na własne oczy i ludzie zaczynają się uwrażliwiać. Jako sołtyska słyszę na przykład o gnieździe bociana usytuowanym na drewnianym słupie energetycznym, który pod wpływem wiatru zaczyna się przechylać. W tym roku jeszcze udało mu się przetrwać największe wichury, bociany miały młode, gniazdo nie spadło. Ale wiem, że jesienią będę musiała postawić nowy słup, a ten stary, drewniany zlikwidować. Mówię o tym, bo to najstarsze gniazdo bocianie we wsi. Niektórzy mieszkańcy pamiętają jego początki i to oni zwracają mi uwagę, że z bocianami jest coś nie tak, że trzeba im pomóc, zadbać o to gniazdo. Tego typu telefony, dotyczące codziennych, drobnych spraw, świadczące o trosce o otoczenie, dają mi siłę.

A z czego, co udało się zrobić w ramach programu „Zakorzenione”, jesteś najbardziej dumna?

Z integracji kobiet we wsi, które wcześniej bały się wyjść z domu, bały się cokolwiek robić, bo były przekonane, że sobie nie poradzą. Teraz tylko pytają: „Kiedy coś zrobimy? Kiedy działamy jako «Zakorzenione»?”. Albo z radością mówią, że pszczoły wreszcie ruszyły do pracy, bo początek wiosny był kiepski i z niecierpliwością czekają na warsztaty pszczelarskie. Do tej pory kobiety we wsi nie potrafiły odnaleźć się we wspólnej przestrzeni, nie miały własnych wspólnych celów. A teraz wystarczy jeden telefon albo mail i są gotowe do działania. Cieszą mnie też telefony od mieszkańców, którzy sami wychodzą z inicjatywą do działań na rzecz przyrody. Miałam telefon od mieszkańca, który zaproponował



1



3



4



2



5

1 / Warsztaty zielarskie – 2024
2 / Otwarcie kina w Stodole – 2025

3 / Projekt „Wiekami złączeni razem dla Zieleni” – 2024
4 / Warsztaty w ramach projektu „Oddychaj pełną piersią” – 2025
5 / Wydarzenie „Kobiety w sercu natury” w ramach programu „Zakorzenione” – 2024



warsztaty z budowy budek lęgowych dla ptaków. Sam zaoferował materiał na budki. To są błahostki, ale świadczą o tym, że ludzie chcą działać na rzecz ochrony przyrody. Zmieniają się ich codzienne nawyki, mieszkańcy uwrażliwiają się na otoczenie.

Jak udało Ci się zbudować tę społeczność zaktywizowanych kobiet?

Nieustannymi telefonami. Dzwonieniem: „Dziewczyny, spotkajmy się, choćby nawet online, bo jest coś do zrobienia”. Mówię na przykład, że mamy czas tylko do wieczora, aby coś napisać, uzupełnić, a one wszystko rzucają i stają na wysokości zadania. Ale szczególnie dumna jestem z tego, że udało mi się w ramach działań zajrzeć poza własną wieś. Zawsze bałam się wyjść poza strefę własnego komfortu, a teraz jadę do Bartoszyca, by przeprowadzić pogadankę i warsztaty o zanieczyszczeniu powietrza i jego wpływie na nasze zdrowie. Jadę do Pieck, do Pisz. Jeżdżę właściwie po całym województwie warmińsko-mazurskim. Czuję, że się rozwinęłam, że pozbyłam się wewnętrznych blokad. Nie boję się już wystąpień publicznych i prowadzenia warsztatów, a kiedyś bardzo się tego bałam.

Opowiedz o swoich najbliższych planach.

Planuję zrobić we wsi społeczny sad i ogród retencyjny z przestrzenią dla młodych ludzi. Najpierw czekają nas prace ziemne, karczowanie i wyrównanie terenu. Na razie nie mam finansów na więcej prac, ale chciałabym też w przyszłości zadbać o to, żeby pojawiła się tam właściwa roślinność. Muszę to omówić z naszym sadownikiem: jakie gatunki drzew należy posadzić i w których miejscach. Zrobimy enklawę dla żab i jaszczurek, a przy okazji zakątek dla młodzieży, w którym młodzi będą mogli się spotykać. Być może jaszczurki znajdą z młodzieżą wspólny język.

Skąd wzięła się w Tobie żyłka do działań społecznych?

Dostałam gen po mamie. Mama była harcerką, potem komendantką hufca. Moje dzieciństwo było jednym wielkim obozem harcerskim. Mam gdzieś nawet mundurek harcerski z pierwszych lat życia. Jeszcze nie chodziłam, a już miałam uszyty mundurek. Z kolei jako czternastolatka prowadziłam już własną drużynę harcerską. Moja mama była jej opiekunką, bo przecież nie byłam pełnoletnia. Potem poszłam na studia, skończyłam inżynierię środowiska, a ekologią zainteresowałam się właśnie w trakcie studiów. Wtedy też zajęłam się recyklingiem. Od 14 lat prowadzę razem z mężem firmę, która zajmuje się recyklingiem zużytego sprzętu elektronicznego. Współpracujemy z większością sołtysów z naszej gminy. Na terenie gminy systematycznie organizujemy zbiórki zużytego sprzętu elektrycznego. Uświadamiamy sołtysów, że muszą na przykład pilnować

starych lodówek, żeby ich nikt nie demontował, bo lodówka bez agregatu to już nie jest elektrośmieć, tylko zwykły odpad, który trzeba przekazać do PSZOK-u. Punkt Selektywnego Zbierania Odpadów Komunalnych pobierze za nią opłatę, a szkoda została już wyrządzona naturze, bo freon został wypuszczony w powietrze. Tymczasem softys zostaje z wielkogabarytem, z którym nie ma co zrobić. Aby temu zapobiec, rozmawiam z softysami, namawiam, przekonuję, edukuję. I jest mi z tym dobrze, czuję się spełniona. Dlatego kiedy przeczytałam o programie „Zakorzenione”, od razu wiedziałam, że to coś w sam raz dla mnie. Kiedy dowiedziałam się, że zostałam przyjęta, byłam bardzo szczęśliwa.

Dlaczego „Zakorzenione” są dla Ciebie tak ważne? Co bierzesz z programu dla siebie?

Pewność, że to, co robię, jest słuszne. Że to właściwa droga z punktu widzenia mnie, sąsiadów i przyrody. To mnie na wielu płaszczyznach wzmacnia. Zresztą nie tylko mnie, wszystkie jesteśmy w tym procesie wzmocnione jako społeczność. Kobiety, zwykle zabiegane i skupione na swoich rodzinach, zaczynają dostrzegać, jak wiele daje im wspólnota. Mam wrażenie, że teraz szybciej przybiegną do świetlicy, a nie będą stały przy garach i gotowały obiad na kolejny dzień. Wynika z tego mnóstwo dobrej energii, rośnie poczucie własnej wartości, jakby nagle zrozumiały, że stworzono je do czegoś więcej niż tylko do sprzątnia i gotowania.

A widzisz siebie biorącą udział w ulicznym proteście? Jadącą do miasta, żeby krzyczeć o sprawach, o których teraz rozmawiamy?

Chyba nie. Nie czułabym się z tym dobrze. Szkoda by mi było czasu i energii. I pieniędzy. Wolę te same pieniądze, czas, energię spożytkować na działanie tu na wsi, lokalnie, oddolnie, wkopać rurę, posadzić kwiaty, zamiast jechać do Warszawy i pomachać transparentem. Zaczniemy wszyscy od siebie, od naszych małych miejscowości, małych społeczności. Zresztą bardzo wierzę w to, że ludzie w większych miastach też mają możliwość stworzenia podobnej wspólnoty i mogą pracować w jej ramach. Nie wydaje mi się, żeby z ulicznych protestów mogło coś konkretnego wynikać. A podziały, do których ludzie w miastach są przyzwyczajeni, tu na wsi nie są wcale tak oczywiste. Współpracuję na przykład z leśnikami i myśliwymi, z którymi razem budujemy siedliska dzikich ptaków.

Opowiedz o tej współpracy.

Ze strony myśliwych dostaję dużo wsparcia. Dzwonię, mówię, co chcę zrobić, i słyszę, że mnie na przykład wyszkolą, jak odbudowywać ptasie siedliska. Chcę się także zaangażować w dokarmianie zwierząt, którym też jest coraz trudniej w intensywnie zmieniającym się świecie. Niektórzy mówią, że myśliwi

dokarmiają zwierzęta po to, żeby potem na nie polować, ale to nieprawda. Chodzi o wzmacnianie osłabionej populacji. Brak surowych zim, brak pokrywy śnieżnej, zanieczyszczone powietrze – to wszystko wpływa na zwierzęta. Trzeba je dokarmiać, dostarczać soli mineralnych z lizawek. Dzięki takim działaniom wzmacnia się populację saren, jeleni, danieli. Wiadomo, że nie wszyscy myśliwi są idealni. W każdym środowisku są ludzie dobrzy i ludzie źli. Dla mnie wzorem myśliwego był mój tata, który już nie poluje z racji wieku, wujek, ale też mąż, który ma bardzo proekologiczne poglądy. W naszym domu celebrowane są upolowane zwierzę, mięso z upolowanego zwierzęcia zostaje całkowicie wykorzystane. Dzięki temu, że mamy dostęp do dziczyzny, nie muszę kupować wieprzowiny, kurczaków faszerowanych antybiotykami. Zresztą staramy się jeść więcej warzyw niż mięsa. Sama wyganiam męża na polowanie, gdy widzę, że lodówka jest pusta. Mówię mu: „Musisz iść do lasu”. A on idzie do lasu, ale z lornetką, bo bardzo lubi obserwować zwierzęta. Wraca, a ja na to: „Lodówka wciąż jest pusta”.

Czy wiara bywa motorem napędowym dla Twoich działań społecznych i ekologicznych?

Wierzę, że tam na górze ktoś jest i ma na mnie oko. To przekonanie działa motywująco. Tym bardziej że jeśli robię coś dla przyrody, to tak naprawdę robię to również dla tego, który to stworzył. Ale przyznam, że często dopada mnie bezsilność, na przykład wtedy, gdy odwiedziłam zakład gospodarki odpadami i zobaczyłam kobiety pracujące przy taśmie segregacji odpadów. Pomyślałam sobie wtedy: jak można tyle produkować, tyle kupować, tyle wyrzucać?! Wszędzie tylko plastikowe opakowania, zabawki, ubrania, które potem lądują w śmieciach! Jak tak można?! Ciągłe kołaczą mi się w głowie słowa, które usłyszałam podczas warsztatów: że zostało nam pięć lat, by zapobiec kataklizmowi. Bo już teraz dzieje się to, o czym mówili nam naukowcy: pożary, trąby powietrzne, powodzie. Nie mogę uwierzyć w to, że dopiero w XXI wieku zajęliśmy się tym problemem na poważnie. Ale ciągle wierzę, że tkwi w nas ogromna moc. I mimo że mamy tak mało czasu, to uda się nam coś zdziałać.

**Zaczniemy
wszyscy od
siebie, od
naszych małych
miejscowości,
małych
społeczności.**

Kto wspiera Cię w dążeniach do poprawy sytuacji?

W domu na pewno mąż. Przychodzę do niego z jakimś problemem, a on mi doradza, sugeruje, do kogo zadzwonić, z kim porozmawiać. Mówi: mam takiego leśnika, mam takiego myśliwego. Poza mężem oczywiście moje liderki. Udało mi się stworzyć sieć i teraz wystarczy jeden telefon, żeby coś załatwić. Leśnicy i myśliwi wspierają mnie przy organizowaniu warsztatów i eventów. Zawsze mogę dowiedzieć się, jakie są potrzeby danego gatunku, co trzeba zrobić, żeby zwierzęta mogły wrócić do swojego naturalnego środowiska.

Jak wyobrażasz sobie swoją wieś za 10 lat?

Mam wizję wsi ekologicznej. Takiej, w której w każdym domu są pompa ciepła, oświetlenie, nieduże wiatraczki. Do tego zbiornik na deszczówkę, chociaż jeden w każdym gospodarstwie, plus, oczywiście, fotowoltaika. O prądzie już rozmawialiśmy – tu się go zużywa tyle, że bez fotowoltaiki się nie obejdzie. I jeszcze marzy mi się, żebyśmy wreszcie wyprostowali kwestię gospodarowania odpadami, prawidłowo segregowali śmieci. Swego czasu mieliśmy dofinansowania z gminy na kompostownik, więc kto chciał, to już ten kompostownik ma, a dzięki niemu mamy mniejsze opłaty za odbiór śmieci. To się wszystko pięknie łączy.

Czyli odnawialna energia, retencjonowana woda i segregacja śmieci. A co z ludźmi?

Jak to się wszystko zadzieje, to ludzie będą o wiele szczęśliwsi. Zadowoleni z życia. I zdrowsi! Bo przecież jak wymienimy już wszystkie piece we wsi, to będziemy oddychać o wiele czystszy powietrzem. I mam jeszcze jedno małe marzenie, a może raczej plan. Nie mamy tu pięknych asfaltów, jakie są w miastach, ale chciałabym, żeby te nasze dziurawe, szutrowe drogi nazwać alejami i każdej przydzielić patrona – gatunek jakiegoś gada, który występuje w Polsce. Chciałabym mieć we wsi na przykład Aleję Jaszczurkową. Być może dzięki temu niejeden mieszkaniec sięgnie po książkę albo sprawdzi w telefonie, o co chodzi z gadami, i czegoś się dowie.

rozmawiały:

Natalia Borkowska, Monika Roszak, Marta Smejda, Monika Szewczyk-Wittek



Karina Majcherska

Sołtyśka wsi Gady, prezeska Fundacji KARO i przewodnicząca miejscowego Koła Gospodyń Wiejskich. Od ponad 20 lat działa w obszarze ekologii i ochrony środowiska, prowadząc firmę Mazur Electrorecycling. Aktywnie angażuje społeczność w działania na rzecz zrównoważonego rozwoju, edukacji ekologicznej i kuchni zero waste. Pod jej kierunkiem fundacja przekształciła się w przedsiębiorstwo społeczne realizujące projekty integrujące kobiety, dzieci i seniorów. Ambasadorka programu „Zakorzenione”, działająca na rzecz ochrony powietrza i zasobów wodnych Warmii i Mazur.



fot. Silvia Pogoda

Od kawy do współdziałania

PO TO MAMY DWOJE USZU I JEDNE USTA,
ŻEBY WIĘCEJ SŁUCHAĆ, NIŻ MÓWIĆ.

/ DOMINIKA MARĆ /



**Wiejskie
kobiety mają
mnóstwo
kompetencji.
Brakuje
im tylko odwagi,
by przebić się
z tym,
co chciałyby
robić.**

DOMINIKA MARĆ

Od kawy do współdziałania

Od czego zaczęła się Twoja działalność społeczna?

Wyssałam to z mlekiem matki. Moja działalność społeczna zaczęła się bardzo naturalnie – od domu rodzinnego. Dorastałam w dużej rodzinie, gdzie współpraca i wzajemna pomoc były codziennością. To zrodziło we mnie przekonanie, że razem można zrobić więcej. Zawsze miałam w sobie potrzebę bycia tam, gdzie coś się dzieje, gdzie mogę wnieść swoją energię i pomysły. Kiedy pojawiły się dzieci, zaangażowałam się w życie przedszkola i szkoły, działałam w Radzie Rodziców. Z czasem to zaangażowanie przerodziło się w coś większego – bo gdy ma się możliwości i umiejętności, naturalne staje się, by je wykorzystywać dla dobra innych.

Pochodzisz z Pustyni?

Nie, pochodzę z Pustkowa na Podkarpaciu – to kilka wsi dalej. Typowa, spokojna wieś, z dala od miasta. Gdy dorastałam, pomaganie sobie nawzajem było czymś oczywistym. Jeśli ktoś jechał do miasta, od razu zabierał sąsiadów, a przy wykopkach cała wieś potrafiła zebrać się u jednego gospodarza. To była forma działalności społecznej, choć wtedy nikt tak tego nie nazywał. Nie było w tym ani ideologii, ani wynagrodzenia – po prostu widziało się potrzebę i działało.

Pamiętasz swoje pierwsze działanie społeczne, o którym pomyślałaś, że byłaś jego autorką?

Trudno mi wskazać pierwsze działanie, które mogłabym nazwać w pełni swoim. Zawsze działałam w grupie – czasem to ja byłam iskrą, ale potrzebowałam też ludzi wokół, żeby ogień się rozpałił. Tak było z piknikami szkolnymi, sprzątaniami wsi czy innymi inicjatywami, które rodziły się z potrzeby chwili. Jeszcze jako dziecko potrafiliśmy skrzyknąć się nad Wisłokę, pozbierać butelki i sprzedać je w skupie – to była nasza wersja ekologii i zaradności w jednym.

Dziś najbardziej jestem dumna z projektów, które prowadzę bardziej świadomie, ucząc też tej świadomości innych. „Pesel nie jest przeszkodą”, w którym uczestniczyło ponad 150 kobiet, czy „Zakorzenione” i przygotowywane właśnie „Blisko Natury” – to inicjatywy wyrastające z rozmów, analiz i realnych potrzeb mieszkańców. Kiedy pomysł staje się wspólnym dziełem i przynosi konkretną zmianę, to daje największą satysfakcję.

Dlaczego zgłosiłaś się do programu „Zakorzenione”?

Kiedy po raz pierwszy przeczytałam o programie „Zakorzenione”, wcale nie myślałam o naturze. To słowo od razu uruchomiło we mnie inne skojarzenia – z powrotem do własnych korzeni, z odkrywaniem siebie, ze sprawdzaniem, co jeszcze mogę w sobie odnaleźć. Poczułam, że to szansa, by się zatrzymać i spojrzeć na siebie inaczej.

Ale tak naprawdę do programu wciągnęła mnie Magda Marynowska, burmistrz gminy Osiek, wówczas związana z Fundacją Aktywizacji i Rozwoju FARMA. To ona zaprosiła mnie na spotkanie do Wiązownicy-Kolonii. I właśnie tam, wśród kobiet, które spotkałam, wydarzyło się coś ważnego. Zrozumiałam, że nie

ma sensu oddzielać rozwoju osobistego od przyrody, że jedno przenika drugie. Ich energia, spokój i otwartość sprawiły, że inaczej spojrzałam na siebie i na to, co mnie otacza.

Wtedy po raz pierwszy poczułam, że „zakorzenienie” to nie tylko ładna metafora. To realna potrzeba bycia częścią wspólnoty, w której czuję się u siebie, i równocześnie wsłuchania się w naturę, która daje siłę i uczy pokory. To było dla mnie doświadczenie, które zostawiło ślad – jak oddech, jak dotyk ziemi pod stopami.

Albo gdy pół roku później ktoś wraca i opowiada, że usłyszał tu coś, co go zmieniło. To mnie nakręca.

Czego potrzebuje w działaniach prośrodowiskowych Twoja lokalna społeczność?

Moja lokalna społeczność najbardziej potrzebuje wiedzy i świadomości. Kiedy mówi się o ekologii, wiele osób automatycznie myśli: sprzątanie świata raz w roku, panele fotowoltaiczne i temat zamknięty. A to przecież tylko fragment. Tak naprawdę chodzi o codzienne wybory – o to, co kupujemy, jak segregujemy odpady czy umiemy odróżnić potrzebę od zachcianki.

Dlatego zaczęłam od rozmów o konsumpcjonizmie. Pokazywałam, że nie wszystko musi być *must have*, że można żyć prościej i mądrzej, a przez to także bardziej ekologicznie. Podczas wspólnych wydarzeń tworzyliśmy mapę marzeń i mapę potrzeb. Dla mieszkańców była to zabawa, ale dla mnie i całego zespołu – źródło ogromnej wiedzy. Dzięki temu widzieliśmy wyraźnie, co jest dla ludzi naprawdę ważne, a co jest tylko powielanym schematem.

Myślę, że to właśnie ta świadomość – że małe, codzienne działania mają wielki wpływ – jest czymś, czego społeczność najbardziej potrzebuje. Bo jeśli zaczniemy od podstaw, od drobnych kroków, to z czasem rodzi się przestrzeń na większe, wspólne inicjatywy.

Jak udało Ci się zbudować sieć liderek?

Wszystko zaczęło się od prostego pomysłu – i od kawy, bo najlepsze rozmowy zawsze rodzą się przy kawie. Gdy pojawiła się myśl, żeby zbudować sieć liderek, napisałam w social mediach krótkie zaproszenie: „Tworzę przestrzeń dla kobiet z naszej gminy, chodźcie na kawę, pogadajmy”. Przyszło 11 dziewczyn – każda z innej wsi, każda z inną historią. I to było piękne, bo od początku wiedziałam, że nie chcę budować czegoś tylko w jednym miejscu. Chciałam, żeby ta sieć była naprawdę żywa, różnorodna, żeby dawała kobietom przestrzeń do działania i rozwoju.

Z czasem zaczęłyśmy realizować projekty w różnych wsiach, a ich efekty zaczęły wykraczać poza samą gminę. Dziś mogę powiedzieć, że korzysta na tym nawet pół powiatu. Najbardziej cieszy mnie jednak to, że te dziewczyny nie tylko przyjęły zaproszenie na kawę – one naprawdę wzięły odpowiedzialność za projekty i współtworzą tę sieć. To już nie jest tylko moja inicjatywa. To nasza wspólna siła.

Czego potrzebują kobiety na wsi?

Kobiety na wsi potrzebują tak naprawdę tego samego, co w mieście – odnaleźć siebie i poczuć się dobrze we własnym towarzystwie. Śmiałam się kiedyś, że seniorki są mocno zaopiekowane – joga, gimnastyka, akrobatyka, tańce. Dla dzieci też oferta jest naprawdę bogata, ale dla tych, którzy na to wszystko pracują, nie ma nic. Wiejskie kobiety mają mnóstwo kompetencji. Czasem brakuje

im tylko odwagi, by przebić się z tym, co chciałyby robić. Zaściankowość wciąż jest silna. Co ludzie powiedzą? Co będzie, jak mi się nie powiedzie? W głowie siedzi myśl, że jak „będę na świeczniku” i coś mi się nie uda, to wszyscy będą o mnie mówić.

Skąd bierzesz siłę do działania?

Siłę czerpię od ludzi. Wystarczy ich uśmiech po zakończonym wydarzeniu, dobre słowo, wdzięczność. Czasem po pół roku ktoś podchodzi i mówi: „dzięki temu, co tu usłyszałam, coś zmieniłam w swoim życiu”. Takie momenty pokazują mi, że to, co robimy, ma sens. To mnie nakręca, daje energię i sprawia, że chce się działać dalej. Wiem, że za każdym projektem stoją realne emocje i ludzie, którzy czegoś potrzebują.

A Twoja osobista motywacja do działań na rzecz środowiska?

Walczę o lepszy świat dla moich dzieci i wnuków, by miały możliwość doświadczenia tego, czego ja w dzieciństwie doświadczałam. Chciałabym, by mogły wyjść na pole albo na dwór, gdziekolwiek będą mieszkały. I aby na tym dworze nie było wyłącznie betonu i smogu. Żeby było zielono i pięknie. Żeby mogły się napić wody z kranu bez obawy, że złapią jakąś chorobę. Działania prośrodowiskowe to dla mnie troska o przyszłość. Wierzę, że naszym obowiązkiem jest zostawić po sobie świat, w którym kolejne pokolenia będą mogły normalnie żyć i oddychać.

W programie „Zakorzenione” zakładamy dotarcie do osób, które wcześniej nie brały udziału w tego typu przedsięwzięciach. Jak udaje Ci się je angażować?

Najlepiej działa osobiste zaproszenie. Czasem wystarczy kawa. Mówię: „chodź, spotkamy się, pogadamy”, i to przełamuje barierę. Ludzie wychodzą z domu dla drugiego człowieka, nie dla hasła z plakatu. Dlatego staram się być blisko – rozmawiać, zapraszać, zachęcać. Korzystam też z tradycyjnych sposobów – ogłoszenia na tablicach informacyjnych, a nawet przez księdza w czasie ogłoszeń parafialnych. Bo nie wszyscy mają Facebooka, a ja chcę dotrzeć do każdego. Wiedza, warsztaty, projekty – to wszystko przychodzi później. Najpierw musi pojawić się więź i poczucie, że ktoś czeka właśnie na ciebie.

Kogo jeszcze prosisz o pomoc?

Współpracuję przede wszystkim z Gminnym Centrum Kultury i Bibliotek – mamy dobre, długotrwałe relacje z dyrektorem. Zdarza się, że idę też do wójta i mówię wprost: „nie mam pieniędzy na wynajem sali, więc proszę o udostępnienie jej za darmo”. I często się udaje. Zapraszam gminę do współorganizowania wydarzeń, bo uważam, że wójt jest wójtem wszystkich mieszkańców – niezależnie od tego,

czy wybrała go tylko połowa z nich. Nie musimy się zawsze zgadzać ani lubić, ale dla dobra społeczności warto robić jak najwięcej.

Mam też inne podejście, które wynika z moich doświadczeń. Kiedyś, pracując w korporacji, chodziłam na bankiety, wydarzenia na czerwonym dywanie... Dla dziewczyny ze wsi to było coś niesamowitego. I dziś, organizując wydarzenia u siebie, chcę, żeby inni też mogli tego doświadczyć – żeby poczuli się wyjątkowo, oczarowani. Dlatego dbam o oprawę – muzykę, poczęstunek, całą atmosferę. To jest otoczka, która sprawia, że spotkanie zostaje w pamięci. A w środku – jak w metodzie „na kanapkę” – jest najważniejsza treść, czyli wiedza i inspiracja.

Co to jest „metoda na kanapkę”?

„Metoda na kanapkę” polega na tym, żeby ważną, czasem trudną treść podać w taki sposób, by ludzie chcieli ją przyjąć. Wyobraź sobie kanapkę – w środku jest to, co nie zawsze smakuje najlepiej, ale jest potrzebne dla organizmu, a na wierzchu i na spodzie kładziesz coś dobrego. Tak samo robię podczas spotkań: zaczynam od czegoś przyjemnego, kończę miłym akcentem, a w środku przemycam wiedzę i wartości. Dzięki temu ludzie wychodzą z poczuciem, że te kilka godzin nie poszło na marne.

Ta metoda działa też szerzej. Czasem zapraszasz jedną grupę, a przy okazji angażujesz drugą. Przykład? Organizowaliśmy turniej „Po marzenia” – były tylko cztery drużyny, a przyszło... osiemdziesiąt dorosłych! Bo za dziećmi zawsze przyjdą rodzice, dziadkowie, znajomi... W ten sposób jedno wydarzenie zapoczątkowuje kolejne, a społeczność zaczyna się coraz mocniej angażować.

Jak wygląda współpraca z innymi podmiotami?

W gminie Dębica działa mnóstwo stowarzyszeń i kół gospodyń wiejskich. Problem w tym, że często wzajemnie się nie znają. Razem z koleżanką, która prowadzi fundację w sąsiedniej wsi, doszliśmy do wniosku, że organizacje nie mogą ze sobą rywalizować – musimy się wspierać. Na wsi organizacjom

**Chodzi o to,
żeby treść,
którą chcemy
przekazać,
włożyć w treść,
którą odbiorca
chce usłyszeć.**



1



3



4



2



5



6

1 / Warsztat „Kosmetyki naturalne” – 2024
2 / Konferencja „Blisko Natury” – 2025

3 / Konferencja „Blisko Natury” – 2025
4 / Wykorzystaj potencjał natury – 2025
5 / Warsztaty zero waste – 2024
6 / Warsztat „Drugie życie przedmiotów” – 2024

Walczę o lepszy świat dla moich dzieci i wnuków, by miały możliwość doświadczenia tego, czego ja w dzieciństwie doświadczałam.

pozarządowym jest trudno: nie ma stałego finansowania, wszystko jest „poszarpane”. Chcemy, żeby tego „szarpania” było jak najmniej.

Dlatego zaczęłyśmy od prostych rzeczy – wymiany zasobów. Jeśli mam stoliki bankietowe, projektory czy ekrany, to zamiast płacić za nie wypożyczalni, ktoś przychodzi po nie do mnie. Jeśli potrzebuję sali, to wiem, kto mi ją udostępni. Zrobiłyśmy listę zasobów i kompetencji większości organizacji z gminy – na pierwsze spotkanie przyszło aż 18 przedstawicielek. Teraz, gdy planuję imprezę na sto osób i brakuje mi talerzyków, sięgam po listę i dzwonię do konkretnej osoby.

Nawet jeśli czasem trzeba coś opłacić, wolę zapłacić lokalnej organizacji niż firmie z zewnątrz. To nie tylko praktyczne rozwiązanie – to też sposób na budowanie relacji i wzajemnego zaufania. I to działa – moje stoliki naprawdę „kursują” po całej gminie.

Jak budować podobne porozumienie na rzecz środowiska i przyrody? Co poleciłabyś innym liderkom, które chcą zacząć działać, ale nie wiedzą, od czego zacząć?

Budowanie porozumienia na rzecz środowiska i przyrody trzeba zacząć od rzeczy najprostszej – od słuchania. Zawsze powtarzam, że Pan Bóg dał nam dwoje uszu i jedno usta po to, żebyśmy więcej słuchali, a mniej mówili. Kiedy naprawdę słuchasz ludzi, zaczynasz rozumieć, co jest dla nich ważne. Drugim krokiem jest zrozumienie i szacunek. Można mieć swoje zdanie, ale warto spróbować spojrzeć też oczami drugiej osoby. A jeśli ktoś się myli? Nie oceniać, nie mówić: „nie masz racji”, tylko pokazać mu delikatnie inny obraz sytuacji. Tylko tak można kogoś przekonać.

Ważne jest też, żeby angażować ludzi w małe rzeczy, na które mają realny wpływ. Posprzątajmy fragment wsi, zasadźmy drzewo, stwórzmy skrawek zieleni wokół siebie. Nie musimy od razu zmieniać świata. Wystarczy, że każdy zrobi coś małego „koło swojego komina”. Pamiętam, jak kiedyś wszędzie na

podwórkach sadzono tylko tuje i trawnik. A ja mówiłam: „Posadźcie cokolwiek więcej. Niech pszczoły też coś mają od życia”.

Tak rodzi się świadomość – krok po kroku. Efektów może nie widać od razu, ale po latach one zawsze zaprocentują. Bo zmiana zaczyna się od małych gestów, które robimy wspólnie.

A co z rozwiązaniami systemowymi? Czy one nie powinny iść w parze z działaniami oddolnymi? Jak poza tym współpracować z samorządem?

Zacznę od drugiego pytania, bo mam na nie krótką odpowiedź. Powiedziałam kiedyś obecnemu wójtowi: „Adam, ja na ciebie nie głosowałam. Zrób wszystko, aby za pięć lat to się zmieniło”. To pokazuje, że z samorządem trzeba rozmawiać otwarcie i uczciwie. Nie zawsze musimy się zgadzać, ale jeśli mamy wspólny cel – dobro mieszkańców – to zawsze znajdzie się pole do współpracy.

A jeśli chodzi o rozwiązania systemowe, to one muszą iść w parze z działaniami oddolnymi. Tylko wtedy zmiana będzie trwała. Najlepszym przykładem są dzieci – jeśli od najmłodszych lat włączamy je w akcje, np. sprzątania wsi, to one zapamiętają to na całe życie. U nas sołtys wymyślił, żeby po takim wydarzeniu zrobić ognisko. To prosta rzecz, ale działa. Bo dziecko, które raz posprzątało śmieci i zobaczyło efekt, już nigdy nie będzie ich bezmyślnie wyrzucać. To właśnie buduje systemowe nawyki – wychowanie, edukacja i wspólne doświadczenie.

A jeśli chodzi o „wielką politykę” – nieważne, czy ktoś ma serce po lewej, czy prawej stronie. Ważne, by być otwartym na zmiany i inwestować w rozwój. Gmina wiejska Dębica ma się czym pochwalić: mamy oczyszczalnię ścieków, nowoczesny PSZOK, rozwijamy infrastrukturę drogową, szkoły, domy kultury i obiekty sportowe. Dumą gminy jest uzdrowisko Latoszyn Zdrój, które przyciąga kuracjuszy z całej Polski i staje się ważnym punktem turystycznym i gospodarczym regionu. Dzięki wodom leczniczym i nowoczesnej bazie rekreacyjno-zdrowotnej gmina ma zupełnie nowe perspektywy.

Na koniec wejdźmy w sferę marzeń. Jak powinna wyglądać Pustynia za 10 lat?

Za 10 lat widzę Pustynię jako miejsce, w którym ludzie naprawdę się znają. Gdzie nikt nie ma oporu, by zapukać do sąsiada po dwie łyżeczki cukru czy trochę soli. Tak, jak to było kiedyś – bez biegania do sklepu, bez marnowania paliwa, za to z poczuciem bliskości i wspólnoty.

Marzę o wsi, która będzie wzorem dla innych. O miejscowości, w której ludzie się szanują, młodzi wspierają starszych, a starsi akceptują, że młodzi mają prawo żyć inaczej niż oni. O miejscu, które nadal będzie zielone i piękne, mimo rozbudowującej się strefy ekonomicznej. Chciałabym, żeby fabryki, które

powstają, były przyjazne dla środowiska i nie odbierały nam tego, co najcenniejsze – natury.

W tej wizji jest też moja prywatna przestrzeń. Marzę, żeby wtedy mieć już wnuki – dwoje albo troje – i żeby mieszkały blisko mojego domu. Chciałabym im pokazywać świat i jednocześnie namawiać ludzi wokół, żeby im się chciało chcieć. I młodszych, i starszych – żeby wychodzili z domów, spotykali się, byli razem.

A na emeryturze?

Chcę mieć do kogo pójść na kawę. Nie siedzieć sama przed ekranem, tylko otaczać się ludźmi, którzy są nastawieni pozytywnie, z którymi można się pośmiać i porozmawiać. To są moje marzenia – proste, ale prawdziwe.

rozmawiały:

Natalia Borkowska, Monika Roszak, Marta Smejda, Monika Szewczyk-Wittek



Dominika Marć

Żona i mama dwójki dzieci.
Ambasadorka programu „Zakorzenione”.
Na co dzień łączy pracę zawodową z działalnością społeczną. Kieruje Fundacją Dębicka Akademia Rozwoju, pracuje jako dyrektor ds. rozwoju w firmie ROS-SWEET Sp. z o.o. oraz wspiera ludzi jako coach i trener mentalny. Jest autorką książki „Okulary życia”. Bliskie są jej tematy współpracy, rozwoju i budowania relacji – zarówno w pracy z zespołami, jak i w lokalnej społeczności. Angażuje się w życie wsi Pustynia, gdzie współtworzy Koło Gospodyń Wiejskich „Oaza”. Zasiada również w Powiatowej Radzie Rynku Pracy w Dębicy i chętnie wspiera różne inicjatywy charytatywne oraz wydarzenia lokalne.



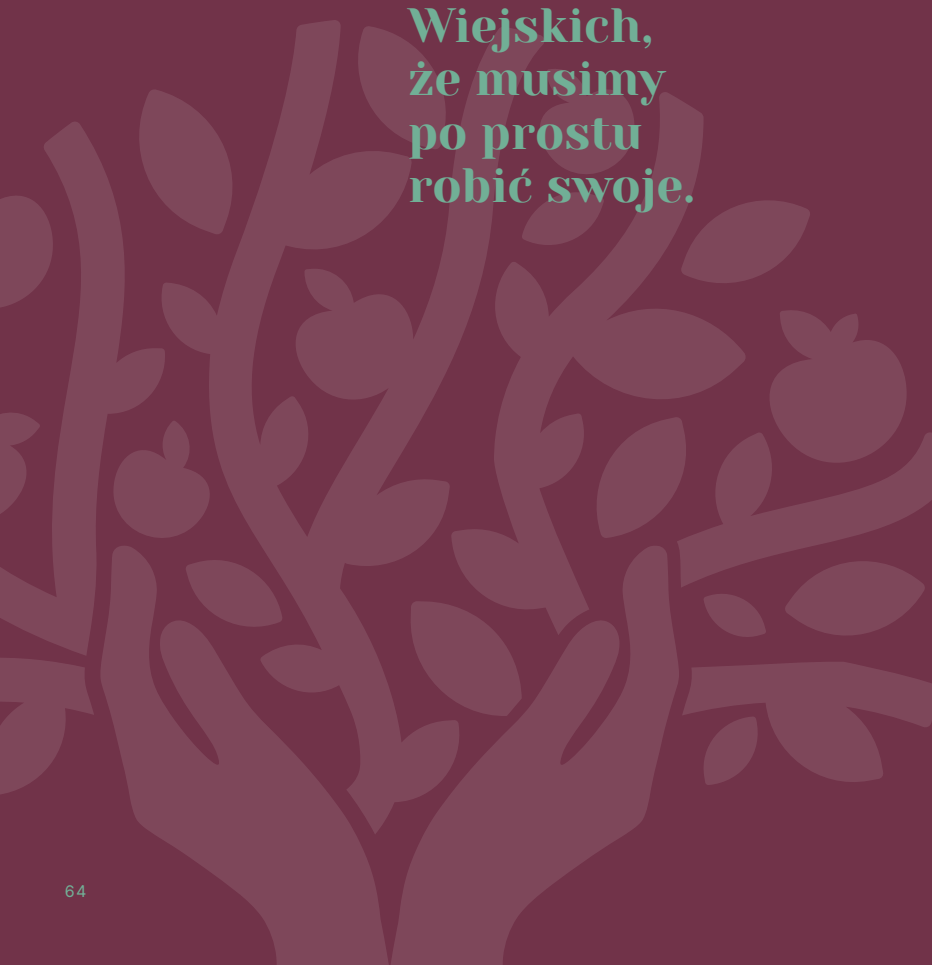
fot. Silvia Pogoda

Czasem trzeba tupnąć

MAM WRAŻENIE, ŻE JAK LUDZIE WIDZĄ
EFEKTY NASZEJ PRACY,
TO PO CICHU PRYZNAJĄ NAM RACJĘ.

/ REGINA MUSIAŁ /





**Mówię
dziewczynom
z Koła Gospodyń
Wiejskich,
że musimy
po prostu
robić swoje.**

REGINA MUSIAŁ

Czasem trzeba tupnąć

Kiedy i jak zaczęła się Twoja praca na rzecz mieszkańców Szklanej?

W liceum. To był Polski Czerwony Krzyż, potem Caritas. Ale muszę też powiedzieć o działaniach prawdziwie oddolnych, z ludźmi i dla ludzi, związanych ze sprzątaniem śmieci. W latach 80. i 90. w przydrożnych rowach w naszej wsi wszędzie walały się śmieci, reklamówki latały na wietrze. Człowiek idzie na spacer, chce odpocząć, bo jest piękna pogoda, zachwyca się przyrodą, a tu nagle – w lesie, w polu czy przydrożnym rowie – kupa śmieci. Albo fruwająca torebka. Bardzo mnie to wkurzało. W tamtych realiach nikt się tym nie przejmował, ale mnie to drażniło. Byłam wówczas jeszcze zbyt młoda, by inicjować jakieś akcje, ale chętnie włączałam się we wszystkie inicjatywy ekologiczne, które wówczas dopiero raczkowały. Pamiętajcie, że jeszcze kilka lat temu w gospodarstwach rolnych odbiór śmieci nie był zorganizowany, co było poważnym problemem dla gmin. To, co się zebrało przy domu albo szło do pieca, czemu towarzyszył czarny dym, albo było zakopywane w polu. Mieszkamy przy drodze wojewódzkiej. Kilka lat temu była modernizowana, zasypano rowy, ułożono chodnik, więc sytuacja trochę się poprawiła. Ale wcześniej, w cieplejszej połowie roku, od marca do listopada, w rowie można było zebrać co kilka tygodni wiadro śmieci. Butelki, plastikowe opakowania. Coś potwornego. Dlatego moim pierwszym odruchem były drobne działania, które mogłyby to ukrócić.

Zajęłaś się problemem nielegalnego śmiecenia?

Chciałam zmienić sposób myślenia, który skłaniałby ludzi choćby do wywożenia śmieci w pole, gdzie je po prostu zakopywali. Pamiętacie szat na jednorazówki?

Plastikowe torby?

Ja z kolei pamiętam czasy, kiedy na zakupy szło się z własną torbą, tak zwaną przemysłniczką. Chodzi o dużą, kraciastą torbę bazarową. To był odruch: idziesz do sklepu, bierzesz z domu torbę. Nikt się temu nie dziwił, każdy tak robił. A potem wybuchł szat na torby jednorazowe. W pewnym momencie miałam wrażenie, że niektórzy wręcz się nimi lansują. Kupują w sklepie napój, i zamiast wziąć butelkę pod pachę, wrzucają ją do jednorazowej siatki. Potem ta torba lądowała w rowie, w lesie albo w piecu, albo fruwała na wietrze.

Czym zajmowałaś się w PCK i Caritasie?

Opiekowałam się dziećmi, jeździłam z nimi na kolonie i obozy. Przy okazji wpa-jałam im lekcje o śmieciach. Papierek zawsze idzie do kosza, a nie na ziemię. Gdy robimy sobie kanapkę, to nie zawijamy jej w plastik, tylko w papier śniadaniowy, dzięki temu nam się szynka nie zaparzy. Drobne gesty, ale podszyte sugestią, że teraz ty korzystasz z tego miejsca, ale po tobie przyjdzie ktoś inny, więc zostaw je dla niego czyste

Opowiedz o swojej dalszej drodze. Co było po PCK i Caritasie?

Poszłam na studia i trochę zmieniły się moje priorytety, przynajmniej na pewien czas. Ale rodzice wciąż mają gospodarstwo, a dla mnie naturalne było i jest pomaganie im. Staralam się tak kumulować zajęcia, żeby potem móc wrócić do domu i pomagać przy gospodarstwie. Nigdy nie wstydziłam się tego, że jestem ze wsi. Nie kojarzyła mi się z zacofaniem. Współcześni mieszkańcy wsi niczym nie różnią się od mieszkańców miast. Mają zadbane domy i obejścia, zagraniczne samochody, eleganckie ubrania i prawdziwą naturę na wyciągnięcie ręki. Doceniliśmy to szczególnie w czasach pandemii. Poza tym, odkąd pracuję w administracji, moi współpracownicy bardzo chętnie kupują ode mnie różne produkty z gospodarstwa moich rodziców: jajka, mleko, ser, pomidory. Ludzie mają świadomość, że są prosto od producenta, zdrowe, wyprodukowane na naturalnym nawozie, bo wciąż mamy świnię i krowę. Obie strony są z tego układu zadowolone: moi rodzice, bo pomagam im w sprzedaży, koledzy i koleżanki z pracy – bo dostają świetne produkty. I tylko ja ciągle muszę jeździć z siatami... Ale coś za coś.



1 / Nasadzenia w ramach projektu z Urzędu Marszałkowskiego „Zamieńmy wysypisko na boisko” – 2019

2 / Warsztaty zielarskie (jeden z podwyższonych klombów – tu szalwia lekarska – na Ziołowej Ścieżce Zdrowia – 2024



3 / Spotkanie w kręgu (E)Kobiet tworzenie kosmetyków naturalnych – „Zakorzenione” – 2024



4 / Warsztaty octowe (zero waste) i zielarskie poprowadzone dla KGW Luborzyca – 2024

Obie strony są z tego układu zadowolone: moi rodzice, bo pomagam im w sprzedaży, koledzy i koleżanki z pracy – bo dostają świetne produkty. I tylko ja ciągle muszę jeździć z siatami...

Jednocześnie zaczęłaś działać na rzecz waszej wsi.

Mówiłam już o problemach ze śmieciami, muszę wrócić do tego wątku. Przez kilka lat moja mama była sołtysem i za jej kadencji gmina zaczęła podstawiać nam kontener na odpady. Był problem ze znalezieniem miejsca, w końcu padło na nieużytek na tak zwanym Kamieńcu, gdzie wcześniej znajdowało się prowizoryczne boisko. Prowadziła tam polna droga, jak padało, to nie dało się przejechać, ale ludzie jakoś sobie radzili, wozem czy traktorem. Tylko że gmina nie nadążała z odbieraniem tych śmieci, więc one się nawarstwiały, a kontener przepełniał. Wszystko tam trafiało, nawet truchła świni. Masakra. Potem kontener zniknął na dobre, a my zaczęłyśmy się zastanawiać, jak wykorzystać to miejsce. Doszłyśmy do wniosku, że nie mamy żadnego innego terenu we wsi, gdzie mogłybyśmy działać. Małopolska charakteryzuje się taką malowniczą mozaiką pól, to bardzo piękny widok.

A ten nasz Kamieniec jest na podwyższeniu, swego czasu to był najwyższy punkt w okolicy, z pięknym widokiem na dolinę rzeki Szreniawy, na las w Koniuszy. Może udałoby się pozyskać jakieś środki, zrobić coś dla dzieciaków ze wsi? – pomyślałam. Wcześniej trzeba było jednak Kamieniec posprzątać. Ściągnąć koparkę. Okazało się, że to prace zakrojone na szerszą skalę. Wielkie sprzątanie.

Jak udało się namówić ludzi do pomocy?

Wydaje mi się, że impulsem było to, że chcemy działać na rzecz dzieci. Bo my tych dzieci mieliśmy we wsi prawie pięćdziesiąt! W dwudziestu kilku domach! Na co dzień ich się nie widziało. Gdy zorganizowaliśmy na polu dmuchańce, żeby dzieci sobie poskakały nagle pojawiło się pięćdziesięcioro dzieci, to wszyscy byli w szoku! Potem, kiedy już posprzątaliśmy Kamieniec, chłopak ze wsi przygotował projekt, żeby nadać temu miejscu jakiś kształt, wymiary prawdziwego boiska. Mieliśmy jeszcze dwa problemy. Po pierwsze taki, że to była po prostu ilasta, gliniasta patelnia. Wszyscy mówili, że nic na niej nie wyrośnie. Ale

drażyliśmy temat, szukaliśmy rodzimych roślin, które sobie w takich warunkach poradzą. Ktoś nam podpowiedział, co tam posadzić, dobrał gatunki i się udało – wyrosła piękna trawa. To był 2018 rok, działaliśmy już wtedy jako Koło Gospodyń Wiejskich w Szklanej.

A drugi problem?

Wciąż brakowało dobrej drogi dojazdowej. Ale okazało się, że starszy pan, który jest właścicielem sąsiedniego pola, chętnie je sprzeda. Wtedy namówiliśmy do pracy naszego radnego, który przeforsował pomysł, by odkupiła je gmina. Burmistrz był nieco sceptyczny, ale udało się go przekonać do zakupu tego terenu i przekazania go w użyczenie dla KGW na 10 lat.

Czyli droga powstała.

Zrobiliśmy kiedyś imprezę, na którą przyjechała pani wiceminister. I na tej naszej polnej drodze ubrudziła sobie w błocie buty. Wykorzystaliśmy te jej brudne buty jako argument, żeby powalczyć o asfalt. Rok później mieliśmy już asfaltowy dojazd. Do tego powstał mały budynek, 35 metrów kwadratowych, na zgłoszenie. Mamy cztery ściany i dach. Potem postawiliśmy wiatę z kostką brukową pod spodem. Doprowadziliśmy prąd. Brakuje nam jeszcze bieżącej wody, ale zbieramy deszczówkę, bo udało nam się załatwić środki na mausera, czyli duży zbiornik na wodę. Jest czym podlewać rośliny.

Miejsce żyje?

W tym roku mieliśmy już dwie prywatne imprezy. Ktoś zrobił zakończenie roku szkolnego dla dzieci, ktoś inny urodziny. Wczoraj zgłosiła się pani, która chciałaby zorganizować córce osiemnastkę. Zachody słońca są wspaniałe. Kiedyś przyjechała do nas para młoda na sesję zdjęciową, więc znajoma ich zaciągnęła na Kamieniec, porobili wspaniałe zdjęcia. To jest naprawdę urocze miejsce. Poza tym na uboczu wsi, więc imprezy nikomu nie przeszkadzają. Jest bezpiecznie. A jeszcze staramy się je urządzać w duchu naturalnym. Mamy pasiekę, na wiosnę posialiśmy łąkę kwietno-ziołową. Przy okazji powstał pożytek dla naszych pszczoł.

W Twojej wsi powstała pasieka. To też projekt koła gospodyń?

Pracowałyśmy kiedyś nad kroniką wsi. Zbierałyśmy stare zdjęcia, próbowałyśmy za ich pomocą opowiedzieć o naszej wsi. Dużo przy tym rozmawiałyśmy z mieszkańcami i w wielu rozmowach przewijał się wspólny wątek: że kiedyś miało się coś na własny użytek. Na przykład sad albo pasiekę. Bo ludzie dalej mają uprawy, ale to już jest inna produkcja. Pomyślałam, że fajnie byłoby wrócić do tych tradycji – żeby mieć coś we wsi na nasze własne potrzeby. Zapyłanie

przysłuży się wszystkim, stąd pomysł pasieki, tym bardziej, że każdy widzi ubytek owadów. Jest ich coraz mniej, nie widuje się już tylu motyli, co dawniej. Spróbowałyśmy z pszczołami. Coraz więcej jest w okolicy rzepaku i kukurydzy, ale niedaleko naszego Kamieńca są też piękne, naturalne łąki. Żartowałyśmy sobie kiedyś z koleżanką, że na starość, na emeryturze, założymy pasiekę. No to założyłyśmy i to na długo przed emeryturą.

Opowiedz o swoich motywacjach. Co Cię popycha do działania?

Czasami mam wrażenie, że inni nie widzą problemu, bo nie chcą, bo musieliby coś z tym zrobić, a udawać, że się czegoś nie widzi, jest łatwiej. Poza tym często zdarzają się wymówki, że „tak przecież zawsze było”, „bo komu to przeszkadza”, „nic się nie da z tym zrobić”.

Dlaczego Ty nie przywykniesz?

To chyba wypadkowa wielu czynników. Trochę nauki Kościoła, trochę tego, co wyniosłam z domu, ale też mojego własnego poczucia estetyki. Jak się dawniej kończyły żniwa, to mój tata brał się za sprzątanie, żeby na obrzeżach pola był porządek. To była forma uszanowania ziemi, a ja zostałam po prostu nauczona takiej postawy. Doceniania tego, co mamy, szanowania miejsca, w którym żyjemy. Bo jeśli my o to nie zadamy, to ci, co będą po nas, na przykład moi siostrzeńcy, nie będą się już mogli nim cieszyć. Nie bądźmy egoistami.

Jak mieszkańcy reagują na Twoje pomysły?

Ludzie różnie reagują na to, co robię. Na przykład na to, że do sklepu jadę rowerem, a nie samochodem. Mam problemy z nogami, zdrowie jest dla mnie ważne, więc rower to dla mnie forma rehabilitacji. Zresztą po co mam się martwić o miejsce parkingowe? Ale dla niektórych jeżdżenie na rowerze jest dziwne. Podobnie jest z pasieką. Pytają kto się tym będzie zajmował? Po co to? Co z tego mamy? Ale chyba już dojrzałam do tego, że nie muszę odpowiadać na wszystkie pytania i tłumaczyć się ze wszystkiego, bo to co robię z czasem obroni się samo. Natomiast mam ogromną satysfakcję, bo w pracę z pszczołami wciągnęli się moi siostrzeńcy. Po miodobraniu usłyszałam, że to całe pszczołkowanie jest fajne. Ale większość wsi wciąż podchodzi do tego jak do jeża. Ostrożnie. Myślę jednak, że będzie jak z Kamieńcem – za jakiś czas to docenią.

Docenić powinni rolnicy, którym przecież pszczoły pomagają w pracy. Prowadziłyście edukację na ten temat?

Na pewno musiałyśmy uczyć ludzi w kwestii oprysków, żeby były prowadzone po zachodzie słońca, gdy pszczoły już nie latają do pożytku. Chodzi o pewne uwrażliwienie, wskazanie, że to nasze wspólne dobro. Jak zadamy o pszczoły,

to one nam się odwdzięczą. Pasieka stoi na Kamieńcu, którego część zagospodarowaliśmy. Ale nie całość, bo aż tyle miejsca nie było potrzeba. Resztę oddaliśmy pod opiekę pewnemu panu, który wyprowadził tam sobie uprawę. Nawet nie wiecie, jak się ostatnio ucieszyłam, gdy zobaczyłam, że oprysk robi dopiero przed godziną dziewiątą wieczorem, czyli jest bezpiecznie dla naszych pszczoł. To w ogóle fajny układ, pan ma większe zbiory, a pszczoły pożytek. To są dwa hektary, kawał pola, ale nie płaskiego, tylko pagórkowatego, z różnymi zakamarkami. Zapytałam go na wiosnę, który kawałek będzie mu trudniej uprawiać, on wskazał jakiś fragment i to właśnie tam zrobiliśmy łąkę kwiatowo-ziołową. Mam oczywiście wrażenie, że część mieszkańców patrzy na te pomysły nieprzychylnie, ale musimy po prostu robić swoje.

Skąd w Tobie otwartość na nowe pomysły? Na zdobywanie wiedzy?

Wiadomo, że mam swoje zdanie na wiele tematów, i jednocześnie wiem, że czasami trzeba zrobić krok w tył. Wtedy więcej się zobaczy. Zyska się nową perspektywę. Jesteś przekonana, że coś jest słuszne, ale okazuje się, że ktoś zrobił nowe badania albo wypracował nowe rozwiązania. Warto po nie sięgnąć, tym bardziej, że ja się na wielu rzeczach po prostu nie znam. W wielu sprawach muszę się radzić innych. Studenci z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie pomogli nam zrobić projekt zagospodarowania Kamieńca. Dobrali roślinność, zaproponowali rozwiązania. Jak trzeba było kupić meble, na których też się przecież nie znam, to zasięgnęłam opinii osoby, która zna ten temat. To samo z trawą, która miała urosnąć na pustyni. Co ja wam będę mówiła oczywistości? Koniec języka za przewodnika! Dzięki pracy w kole nauczyłam się wielu rzeczy...

Ale nie gotowania, prawda? Bo wielu osobom wydaje się, że koła gospodyń zajmują się wyłącznie gotowaniem.

Gdzie tam! Mam na myśli kwestie zarządzania, organizowania pracy, zagadnienia związane z ekologią. Skoro podejmuję jakieś decyzje, to biorę za nie odpowiedzialność. Decyzja może okazać się błędna, ale zanim ją podejmę, rozpisuję sobie argumenty, którymi się kierowałam. Zbieram informacje, a potem piszę na forum: słuchajcie, dowiedziałam się tego i tego, i w tym kontekście wydaje mi się, że najlepsze będzie takie rozwiązanie. Czy ktoś jest przeciwny? Cisza. Czyli podjęliśmy decyzję.

Próbujesz zmiekczać nieprzekonanych czy raczej działasz z tymi, którzy chcą coś zrobić?

Kiedyś chciałam dotrzeć do wszystkich, do każdego się dopasować. Ale tak się nie da. Za dużo mnie to kosztowało. Uznałam, że będę współpracować z tymi, którym zależy. Mam wrażenie, że jak ludzie widzą efekty naszej pracy, to po

cichu przyznają nam rację. Do każdego działania podchodzę uzbrojona w argumenty, ale też zostawiam uchyloną furtkę na argumenty mojego rozmówcy.

Z czego jesteś najbardziej dumna?

Z tego, że Kamieniec nie jest już wysypiskiem śmieci, tylko jest miejscem integracji, spotkań, takim, które służy mieszkańcom. Jednocześnie miejscem pięknym, z ogromnym potencjałem na przyszłość. I jeszcze z tego, że udało nam się w ubiegłym roku zrobić „Ziołową Ścieżkę Zdrowia” wzdłuż trasy EUROVELO 11 (fragment międzynarodowej długodystansowej trasy rowerowej, która rozpoczyna się w Atenach, a kończy w Nordkap w Norwegii – przyp. red.) biegnącej przez naszą wieś. Ani nasza gmina, ani gminy ościennie nie miały pomysłu na zagospodarowanie ścieżki rowerowej. Tylko nasze koło coś z nią zrobiło. Wzdłuż trasy ustawiliśmy pięć podwyższonych klombów, w których posadziliśmy wieloletnie i miododajne zioła: szalwię, pysznogłówkę, tymianek, melisę, lawendę i opatrzyliśmy je tablicami edukacyjnymi. Widzę, że ludzie przystają, czytają tablice, czasem zerwą sobie trochę ziela. Marzy mi się pójść dalej, w kierunku wsi tematycznej, żebyśmy się stali wsią pachnącą ziołami, która wykorzystuje ten piękny krajobraz, tę szachownicę pól. Chcemy robić warsztaty zielarskie, proponować spacer edukacyjne. Uczulać ludzi, jak ważne są zapylacze. Że warto patrzeć pod nogi! Że to wszystko ma sens wtedy, gdy wokół nie latają śmieci. A to, czy one latają, czy nie, zależy wyłącznie od nas, od naszych decyzji konsumenckich i wyborów. Od tego, czy kupimy produkt w opakowaniu plastikowym, czy szklanym, i gdzie potem to opakowanie wyrzucimy. Ale do wszystkiego dojdziemy małymi krokami. Na tyle, na ile wystarczy nam sił.

rozmawiały:

Natalia Borkowska, Monika Roszak, Marta Smejda, Monika Szewczyk-Wittek



Regina Musiał

Pochodzi ze wsi Szklana, z wykształcenia prawniczka, zawodowo związana z administracją skarbową. Z zamiłowania aktywna członkini Koła Gospodyń Wiejskich Szklana oraz ambasadorka projektu „Zakorzenione”. Zaangażowana w działania na rzecz lokalnej społeczności kobiet – pielęgnuje tradycję, promuje dziedzictwo kulturowe oraz inicjuje projekty proekologiczne, wspierające ochronę naturalnego środowiska. Jej hobby jest rękodzieło, a pasją świat ziół, ich właściwości oraz zastosowanie w codziennym życiu.



fot. Silvia Pogoda

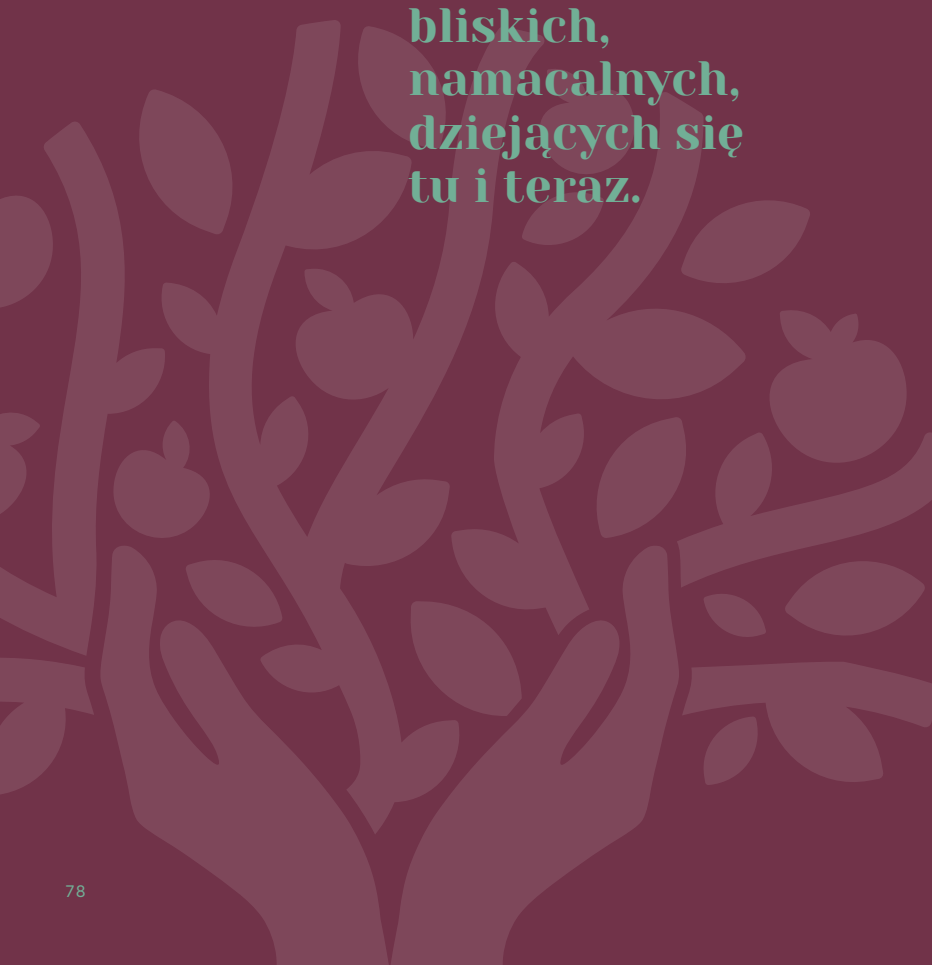
Trzeba robić swoje

SĄ WŚRÓD MOICH LIDEREK DZIEWCZYNY, KTÓRE ŻALĄ
SIĘ, ŻE DO TEJ PORY NIKT ICH NIE SŁUCHAŁ.
TYMCZASEM PROSTE SŁOWA WSPARCIA POTRAFIĄ DAĆ
PRAWDZIWEGO KOPA DO DZIAŁANIA.

/ IWONA ORŁOWSKA /



**Do ludzi
trzeba mówić
o sprawach
bliskich,
namacalnych,
dziejących się
tu i teraz.**



IWONA ORŁOWSKA

Trzeba robić swoje

Skąd wzięła się Twoja praca społeczna?

Od 14 lat pracuję w ośrodku kultury w Krypnie, gdzie prowadzę działalność kulturotwórczą. Jestem zapraszana do projektów kulturalnych, niektóre sama inicjuję. W międzyczasie pojawiły się również działania społeczne, przede wszystkim związane z ochroną środowiska naturalnego, dlatego, że rozpoczęłam współpracę edukacyjną z parkami narodowymi: Narwiańskim i Biebrzańskim. Śledzę działania nadleśnictwa, organizowane przez nie warsztaty, i to co tam podpatrzę, przenoszę na grunt swoich własnych aktywności z młodzieżą.

Od zawsze mieszkałaś na wsi?

Pochodzę z Białegostoku. Wychowałam się w mieście, tam ukończyłam szkoły i studia. Na wsi, w Krypnie Kościelnym na Podlasiu zamieszkałam 25 lat temu. Moje początki były ciche, nieśmiało włączałam się w życie wsi. Na przykład gdy ktoś mnie poprosił o opielenie warzywnika, nie bardzo wiedziałam, które to warzywo, a które chwast. Dziś mam duży ogród warzywny, sad i kwiaty. Razem z mężem stworzyliśmy niedaleko domu naszą „oazę spokoju” – mały staw retencyjny z dużą ilością roślinności i miejscem do wypoczynku.

Jesteś samoukiem?

Na początku pestycydy szły jak leci. Nie będę ukrywała, że w ogrodzie działałam po linii najmniejszego oporu. Potem zaczęłam się doksztatcać, głównie w Internecie. Poznałam m.in. pszczelarza, który zorganizował w naszej wsi spotkanie. Tłumaczył, dlaczego tak ważne z punktu widzenia pszczół jest to, żebyśmy nie stosowali w ogrodach chemii. To mi otworzyło oczy, zmieniłam nastawienie, dziś stosuję tylko środki naturalne. Program „Zakorzenione” pojawił się chyba w najlepszym możliwym momencie, gdy ciągle jeszcze uświadamiałam sobie, jak niewiele wiem. Skoro jednak mam robić coś dla innych, to będę musiała sama się najpierw wszystkiego nauczyć. Zgłosiłam się, a gdy dostałam informację, że jestem przyjęta, to się przeraziłam. Pomyślałam, że inne dziewczyny z programu „Zakorzenione” na pewno działają w poważnych organizacjach ekologicznych i mają fachową wiedzę, ale podjęłam wyzwanie. Chciałabym działać w programie jak najdłużej, namawiać kolejne dziewczyny do przyłączania się.

Nasze działania kierowane są przede wszystkim do kobiet, a Ty wspomniałaś, że wcześniej pracowałaś głównie z młodzieżą. Jak się czujesz z tą zmianą?

Miałam kontakt z dziećmi i młodzieżą, a więc również z ich rodzicami. Często słyszałam od mam, że brakuje aktywności skierowanych do nich. Rzeczywiście, dom kultury ma przypiętą łatkę, że to, co robimy, jest albo dla dzieci, albo dla seniorów. Nie ma oferty dla przedziału wiekowego osób dorosłych. To dlatego postanowiłam włączyć w nasze działania ludzi spoza sektora kulturalnego. W grupie liderek są moje pracowniczki, ale nie tylko, są panie z urzędu gminy, z koła gospodyń, rolniczki. Co dla mnie ważne, są też dwie osoby spoza naszej gminy. Obserwowałam ich działalność od dłuższego czasu i bardzo mi zależało na współpracy. Jedna z nich pracuje w Narwiańskim Parku Narodowym, jest też sołtyską i działa w OSP. Druga prowadzi samodzielne warsztaty i niedawno została dyrektorką Gminnego Ośrodka Kultury. Kto wie, może także jej działania w naszym programie zostały zauważone?

W ramach programu „Zakorzenione” prowadzisz działania prośrodowiskowe. Zbudowałaś też sieć kobiet-liderek, które wspierają Cię w aktywnościach, ale też prowadzą własne projekty i inicjatywy. Jak to się stało, że te kobiety za Tobą poszły?

W ubiegłym roku nasze liderki były jeszcze dość nieśmiałe – robiły to, o co się je poprosiło, ale rzadko wychodziły z własną inicjatywą. Teraz to one stają się organizatorkami swoich lokalnych projektów. Korzystam z każdej możliwej okazji zainteresowania innych tym, co robimy. Zaczepiam ludzi w sklepie. Proszę księdza, by wspomniał o nas podczas ogłoszeń duszpasterskich. W małych

społecznościach docieranie do innych z komunikatem jest prostsze niż w mieście. Każdy każdego zna, są wspólni znajomi. Za sprawą naszych liderek próbujemy więc angażować nowe osoby.

Skąd czerpiesz pomysły na działanie i na ile są one reakcją na lokalne potrzeby?

Na początku naszej pracy przeprowadziłyśmy diagnozę potrzeb mieszkańców. Wróciło do nas bodaj 65 ankiet. Głównym problemem okazała się permanentna susza. Sporo było też zgłoszeń o niedostatecznej wiedzy na temat prawidłowego segregowania odpadów. To akurat wydało mi się w dzisiejszych czasach absurdem. Tymczasem okazało się, że mieszkańcy wciąż nie mają pojęcia, czym jest PSZOK, czyli Punkt Selektywnej Zbiórki Odpadów Komunalnych, i gdzie się mieści. Dopiero po zmianie jego lokalizacji, gdy znalazł się bliżej centrum gminy, ruch się zwiększył. Wiem to, bo widzę go z okien GOK-u. Trzecia sprawa to nadmierny konsumpcjonizm. Inspiracja do zorganizowania warsztatów na ten temat przyszła w zaskakujący sposób. Zobaczyłam kiedyś na nogach koleżanki nietypowy buty. „Od kiedy ta firma haftuje kwiatki na trampkach?” – zapytałam. A ona na to, że to robota koleżanki. „Miałam dziurę, szkoda było mi je wyrzucać, a mam koleżankę Agatę, która naprawia takie rzeczy, przetwarza je”. Buty były naprawdę piękne, więc namówiłam tę Agatę, żeby do nas przyszła. I nasze panie przez półtorej godziny przerabiały stare T-shirty na torby. Częściowo za pomocą nożyczek, metodą wiązania supełków, częściowo na maszynach. Komentarze były takie, że gdyby panie miały większą wiedzę na ten temat, to na pewno nie wyrzucałyby aż tylu ubrań.

Czy widzisz jakąś zmianę wśród mieszkańców wsi? Czy Wasze działania otworzyły ich na rozmowy na temat ochrony przyrody?

Nie poruszałyśmy do tej pory tematów polaryzujących, takich, które mogłyby nastawić ludzi do nas negatywnie. Nasze spotkania dotyczyły na razie drobnych działań pojedynczych osób, które mogą przełożyć się na większą zmianę. Informacja zwrotna jest bardzo pozytywna. Słyszemy, że zorganizowana przez nas akcja wymiany ubrań KopCiuszek była bardzo fajna. Akcję KopCiuszek zainicjowała Beata – jedna z liderek. Polegała ona na społecznej wymianie odzieży. Każdy mógł

W małych społecznościach docieranie do innych z komunikatem jest prostsze niż w mieście.

przynieść ubrania w dobrym stanie do oddania lub sprzedaży za symboliczną opłatę. Co ciekawe, pani starosta przywiozła całą walizkę ubrań, a dochód z ich sprzedaży przekazała nam na cel charytatywny. Podczas tego spotkania zorganizowałyśmy także lumpeksowy pokaz mody, w rolę modelek wcieliły się m.in. dyrektorka biblioteki i starosta.

Z kolei koło gospodyń odzwyczaiło się od używania plastikowych naczyń. To wszystko namacalne zmiany. Na te bardziej spektakularne musimy chyba jeszcze poczekać, ale z rozmów choćby z przedstawicielami Nadleśnictwa Knyszyn wiem, że również dużej instytucji poruszanie trudnych tematów nie przychodzi łatwo. Jesteśmy wsią, gdzie stosowanie środków ochrony roślin jest powszechne, z dnia na dzień nie zrobimy rewolucji. Nie będzie tak, że nagle wszyscy przerzucą się na rolnictwo ekologiczne. Ważne są także drobne zmiany naszych nawyków, które powinny się w nas głęboko zakorzenić. Nasze dzieci nie będą powtarzały naszych słów, tylko nasze zachowania.

Mówisz o trudnych tematach. Trudnych, bo wymagających od ludzi zmiany sposobu życia, wypracowania innych zachowań niż dotychczasowe. Nie wszyscy są na to gotowi. Jak zabiegać o tych niegotowych, nieprzekonanych do konieczności zmiany?

Wiedza o tym, że nie powinno się stosować chemicznych środków ochrony roślin, jest wśród ludzi powszechna. Tylko że ona kończy się na stwierdzeniu, że to nieekologiczne. Nie kryją się za tym żadne konkretne informacje. Tymczasem konieczne są konkrety, pokazywanie na przykładach innych metod, które są równie skuteczne. Gościliśmy ostatnio panią, która opowiadała o kompostownikach. Do tej pory wszystkim z nas wydawało się, że co to za problem założyć kompostownik. Każdy to potrafi. Idziesz do marketu budowlanego, kupujesz kawałek plastiku i ziemię, wsypujesz i masz. Ale okazało się, że to nie tak do końca. Pani przyniosła na spotkanie trzy słoiki z ziemią, w pierwszym była z supermarketu, w drugim – zwykła ogrodowa, w trzecim – z kompostownika. Pokazywała, czym ta ziemia różni się od innej, opowiadała o jej walorach na przykładach plonów z własnego ogródka. Pytacie, jak przekonywać? – właśnie tak! W zajmujący, wciągający sposób, w terenie, na namacalnych przykładach.

Jak wygląda Twoja współpraca z samorządem?

W ubiegłym roku braliśmy udział w pisaniu strategii gminy Krypno. Wspólnie wypracowaliśmy wizję gminy, w której pojawiły się określenia dotyczące czystości środowiska i dbających o nie mieszkańców. To była nasza inicjatywa, a wójt chętnie ją poparł. Jemu też zależy na tych wartościach.

Jak radzisz sobie z podziałami w społeczeństwie? Nieważne, gdzie mieszkamy, wszystkim jest współcześnie coraz trudniej dogadać się z drugim człowiekiem. Dzielą polityka, poglądy na wiele spraw. Jak w takich realiach skutecznie działać?

Sama chciałabym to wiedzieć. Wydaje mi się, że trzeba robić swoje, nie oglądając się na to, czy komuś się to podoba, czy nie. Robić merytoryczną pracę i nie liczyć na to, że ludzie będą nam klaskać i gratulować.

Skąd więc czerpiesz siłę do działania na rzecz innych?

To w dużej mierze moja własna potrzeba. Choć wszystkim zwykle wydaje się, że społecznicy pracują na rzecz innych, w rzeczywistości dużo robią dla siebie. Jestem chłonna wiedzy, mam ogród, chcę się dowiadywać, jak w dobry sposób w nim pracować. Potem mogę tę wiedzę przekazywać innym. Spotykam się z fantastycznymi osobami, choćby w Powiatowej Radzie Kobiet, i sama chciałabym w takie grono wnieść coś wartościowego. Nie szukam sławy ani pokłasku, zależy mi raczej na angażowaniu osób, które do tej pory unikały aktywności społecznej. Gdy otoczenie zaczyna dostrzegać ich działania, czują się wzmocnione. Poza tym mam dwóch synów, już dorosłych, dwudziestokilkulatków. Obaj mówią, że nie chcą tu żyć, planują się wyprowadzić, przynajmniej na razie, bo wiele osób w późniejszym etapie życia postanawia wrócić w rodzinne strony. I mnie, i wszystkim innym zależy, byśmy żyli w miejscu, które jest czyste, zdrowe i przyjazne.

Patriotyzm lokalny jest więc ważnym czynnikiem?

Nie każdy musi chcieć intensywnie działać na rzecz naszej wsi, ale ważne jest, żeby nie zostawiać jej kolejnym pokoleniom w stanie gorszym, niż sami ją zostawiliśmy. Żeby chociaż nie szkodzić. Na pewno preferujemy działanie z lokalnymi firmami i organizacjami, z ludźmi z okolicy. To o wiele lepsze niż zapraszanie kogoś z daleka. Poza tym staramy się upiększać nasze otoczenie. Gdy tylko widzimy jakiś kawałek wspólnej ziemi, którym można się zająć, to zbieramy grupę i to robimy. Nie jedziemy na drugi koniec Polski, tylko pracujemy u siebie. Ludzie wciąż czują przynależność do miejsca. Żyjemy na co dzień w naprawdę pięknej okolicy, blisko natury i dzięki tego typu działaniom częściej to sobie przypominamy.

Wspomniałaś o wzmacnianiu kobiet – na czym ono polega?

Pewna pani opowiadała mi, że po wstąpieniu do koła gospodyń poczuła się wolna, jakby dostała skrzydeł. Zrozumiała, jak wiele jest w stanie zdziałać, bo czasem wystarczy jedno dobre słowo, prosty komplement. Wśród nas jest dużo kobiet, które mają ogromny potencjał, charyzmę, talenty, których same



1, 2 / Kuchnia zero waste i produkt lokalny

3, 4, 5, 6 / Piknik Ekologiczny – Zakorzenione Siostry Natury – 2025



7



8



9



10



11



12

7 / Bioróżnorodność na kwitnącej łące i warsztaty tworzenia bomb kwiatnych – 2024

8 / Woda cenniejsza niż złoto – 2024

9 / Warsztaty upcyklingowe, pokaz mody lumpeksowej, akcja KopCiuszek

10, 11, 12 / Konferencja regionalna programu „Zakorzenione” i konkurs „Ogród z Klimatem” – 2025

nie dostrzegają. Nigdy nie słyszą, że coś fajnie wymyśliły albo że ich pomysł był świetny. Są wśród moich liderek dziewczyny, które żałują, że do tej pory nikt ich nie słuchał. Gdy dzieliły się na jakimś zebraniu swoim pomysłem, były odsuwane na bok, ignorowane. Tymczasem proste słowa wsparcia potrafią dać prawdziwego kopa do działania. Ja też kiedyś je usłyszałam i to bardzo wpłynęło na moją postawę.

Co to była za okoliczność?

Na studiach kolega zaprosił mnie do koła studenckiego. Byłam przekonana, że się do tego nie nadaję. A tak fajnie działaliśmy, że zostałam potem przewodniczącą samorządu studenckiego. Dużo się tam nauczyłam, włącznie z tym, jak ważne jest wspieranie ludzi pozostających w cieniu. Osoba, której pozwoli się rozwinąć skrzydła, może stać się potem motorem napędowym dla innych. Może być zapraszana, słuchana i poważana, a jej wpływ na tematy związane choćby z ekologią stanie się istotny. Taka osoba działa w swojej społeczności o wiele więcej niż na przykład profesor, który przyjedzie z Warszawy i będzie opowiadał o czymś tak odległym jak katastrofa klimatyczna. Do ludzi trzeba mówić o sprawach bliskich, namacalnych, dziejących się tu i teraz. Straszenie katastrofą i końcem świata jest demotywujące. Dlatego chcemy naszymi działaniami nakierować na drobną zmianę, która zadzieje się tuż za płotem. I nawet jeśli nie poprawi ogólnej sytuacji, to pozwoli nam przystosować się do zachodzącej zmiany.

To jakie będzie Krypno za 10 lat?

Czyli w 2035 roku? Widzę wieś pełną mieszkańców, którzy są otwarci na rozmowę, i nie polegają tylko na gminie, która ma im coś załatwić, ale są w stanie wziąć sprawy w swoje ręce. Widzę Krypno jako miejsce dobre do życia, takie, w którym działają również inne grupy i organizacje ekologiczne i wszyscy dbamy o nasze wspólne dobro. Widzę też tę przestrzeń jako pełną zieleni, a nie betonu, porośniętą drzewami, taką, w której proboszcz, wójt i mieszkańcy potrafią się dogadać choćby po to, żeby zrobić miejsce do wspólnej rekreacji. I że takie inicjatywy wychodzą również od mieszkańców, którzy są słuchani.

rozmawiały:

Natalia Borkowska, Monika Roszak, Marta Smejda, Monika Szewczyk-Wittek



Iwona Orłowska

Z wykształcenia ekonomistka, z pasji – animatorka kultury i edukatorka cyfrowa, a także absolwentka Programu Liderckiego PAFW. Od 14 lat kieruje Gminnym Ośrodkiem Kultury w Krypcie, gdzie z sukcesem realizuje projekty angażujące mieszkańców i promujące region. Jest członkiem Rady LGD Stowarzyszenia N.A.R.E.W. i przewodniczącą Rady Kobiet Powiatu Monieckiego. Jej hobby to ogrodnictwo i rękodzieło.



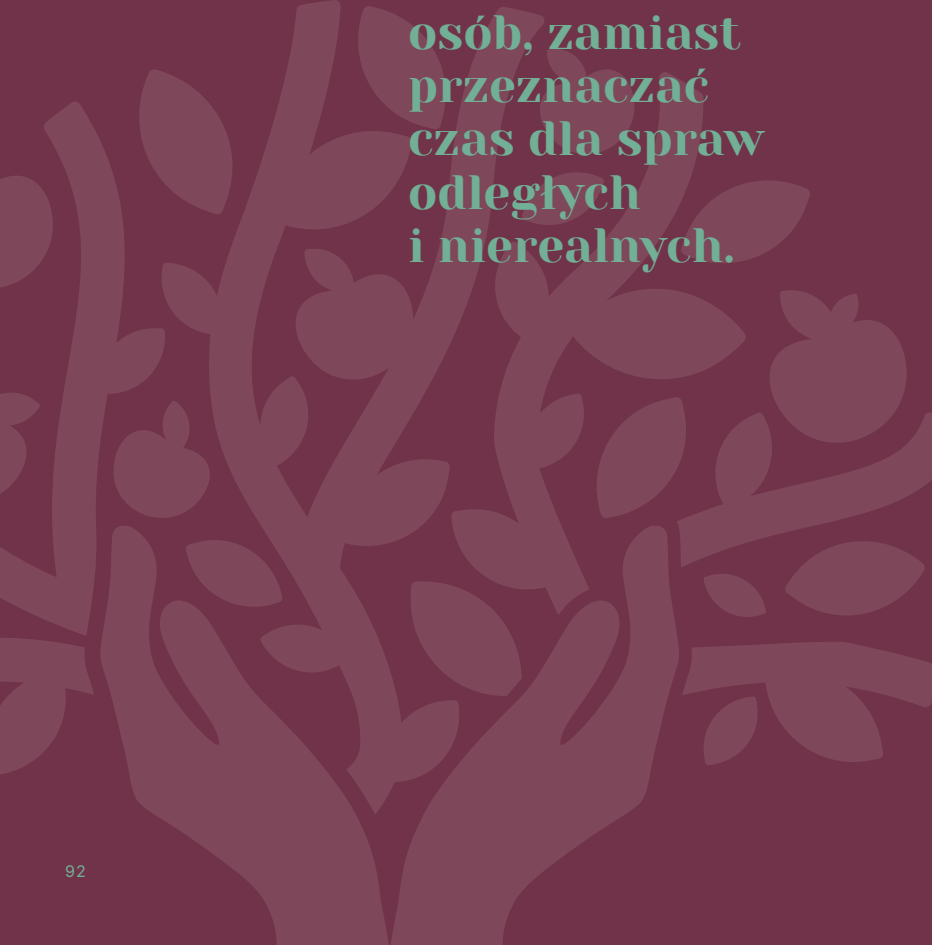
fot. Silvia Pogoda

Nie patrzę na trendy

WŚRÓD NASZYCH STAŁYCH BYWALCZYŃ SĄ
DZIEWCZYNY O RÓŻNYCH ŚWIATOPOGLĄDACH,
Z RÓŻNYM BAGAŻEM ŻYCIOWYM, MIESZKAJĄCE
ZARÓWNO NA WSIACH, JAK I W MAŁYCH
MIASTECZKACH. ZALEŻY NAM NA TYM,
ABY KAŻDA Z NICH ŚMIAŁO ZABIERAŁA GŁOS
W WAŻNYCH DLA SIEBIE SPRAWACH, NIE WSTYDZIŁA
SIĘ SWOICH POGLĄDÓW ORAZ NIE OCENIAŁA
DRUGIEJ OSOBY PRZEZ ICH PRYZMAT.

/ WIOLA PIWOWARSKA /





**Wolę
wprowadzać
zmiany
w głowach
kilkunastu
osób, zamiast
przeznaczać
czas dla spraw
odległych
i nierealnych.**

WIOLA PIWOWARSKA

Nie patrzę na trendy

W jakich okolicznościach zaczęła się Twoja działalność społeczna?

Nie jestem społecznicą od urodzenia. Pierwsze działania zaczęły się kilkanaście lat temu w lokalnej organizacji, którą utworzyłam wraz mężem Jackiem (sołtys Wiązownicy-Kolonii) i kilkunastoma osobami. Zaangażowanie nasiliło się w momencie, gdy okazało się, że większość spraw związanych z tworzeniem treści w mediach społecznościowych spadło na barki Jacka. Chciałam go wyręczyć z części obowiązków. Po jakimś czasie doszły kolejne działania, wspólorganizacja wydarzeń, ich prowadzenie. Zaczęłam również jeździć na szkolenia, by podnosić swoją wiedzę na temat trzeciego sektora. Poznawałam tam osoby z różnych części kraju, działające w różnych organizacjach i wciągnęłam się na maksa w działalność społeczną.

Co było dalej?

Po kilku latach przyszło wypalenie. Doszłam do wniosku, że nie chcę całego swojego wolnego czasu poświęcać na organizację wydarzeń typu festyn czy rajd rowerowy i działać tylko dla stałej grupy mieszkańców. Musiałam zmienić miejsce i grupę docelową. I tak zrodził się pomysł na powołanie na swoim podwórku Fundacji PasjoDzielnia, która kieruje swoje działania do kobiet, liderek i liderów społecznych oraz osób mających pasję. O swoim pomysle powiedziałam Gosi Skwarzec, którą poznałam, działając społecznie w Stowarzyszeniu

Dolina Kacanki. Gosia powiedziała, że też potrzebuje zmiany i chce tworzyć PasjoDzielnę ze mną. Nie miałyśmy pojęcia, czy to wypali, czy nie. Ale potrzebowaliśmy tego dla samych siebie.

Wypaliło?

Początki były trudne. Zaczynałyśmy w czasie pandemii COVID-19. Obostrzenia zakazywały spotkań w miejscach publicznych w grupie większej niż sześć osób. Prowadziłyśmy więc praktykę jogi online. Gdy obostrzenia były mniej restrykcyjne, zaczęłyśmy spotykać się na naszym podwórku, pod starą gruszą, na zajęciach jogi na trawie, połączonych z pokazami Wiejskiego Kina Kobiet. Początkowo naszą salą kinową była szopa, z biegiem czasu kino przeniosło się do stodoły, gdzie mogłyśmy ugościć więcej osób. Na pokazach wyświetlałyśmy filmy dotyczące sytuacji kobiet w różnych częściach globu. Większość dziewczyn, które wtedy przychodziły, dziś są naszymi wolontariuszkami. Informacja o PasjoDzielni rozchodziła się pocztą pantoflową dość szybko. Uczestniczki spotkań podkreślały, że jest to miejsce otwarte, przyjazne, niezależne od władz i bardzo klimatyczne, i każdy czuje się tu jak u siebie. I to jest chyba nasz największy atut.

Kto raz przyszedł, już został?

Tak. Udało nam się stworzyć grupę świetnie rozumiejących się wolontariuszek. Osób, które chcą uczestniczyć w naszych wydarzeniach, a jednocześnie jeśli mają akurat czas i przestrzeń, to chętnie same angażują się w ich przygotowanie. Same zostają po wydarzeniu, żeby pomóc w sprzątaniu albo przynoszą poczęstunek, nalewki, wypieki, przetwory. Na początku było to dla mnie duże zaskoczenie. Przez lata działałam dla grupy, która przeważnie była nastawiona na branie, rzadziej na dawanie. A tu całkowicie odwrotnie! To miła odmiana.

Jak docierać do takich osób? Jak zapraszać na wydarzenia?

W PasjoDzielni kierujemy nasze działania do kobiet, które są na takim etapie w życiu, że chcą zainwestować w siebie, w swój rozwój, chcą być wsparciem dla innych. Tu nie musimy nikogo namawiać, dziewczyny same zgłaszają się na wydarzenia, zapisując się pod postami. I to jest super.

Jeśli chodzi o działania w ramach programu „Zakorzenione”, to wyglądało to inaczej, bo też grupa, do której musiałyśmy dotrzeć, była inna. Miały to być kobiety, które dotychczas były nieaktywne, ale mają potencjał do tego, by włączyć się w działania na rzecz środowiska i przyrody, i wprowadzać zmiany na poziomie swojej rodziny, gospodarstwa, więc to całkiem inna grupa. Tu pomocne były nasze liderki. Niemal każda z moich 10 liderek, które miałam przyjemność wspierać, jest z innej miejscowości, a nawet gminy. Rekrutowanie nowych osób,

które chcą przyjechać na ekowarsztaty, w takich realiach nie jest łatwe. Zdarzały się sytuacje, że liderki zapraszały kogoś na wydarzenie, kto obiecywał, że się pojawi, a w dniu wydarzenia udawał, że nie było tematu. To mocno podcina skrzydła. Wyobraź sobie sytuację: możesz zaprosić na wydarzenie sześć kobiet, zapraszasz je, wszystkie potwierdzają obecność, ale żadna się nie pojawia. Takie doświadczenia dla początkujących liderek nie były łatwe. Natomiast rozumiem te mechanizmy – gdy chcesz wybrać się na wydarzenie, które potrwa trzy godziny, a mieszkasz 70 km od miejsca, gdzie się ono odbędzie, to w praktyce musisz wyrwać się z domu na 5–6 godzin (to pół dnia). Zostawić dom, obowiązki i jeszcze takie wypadki nie są dla Ciebie czymś naturalnym... Wiem, że to może zniechęcać. Na szczęście w organizacji wydarzeń z projektu „Zakorzenione” wspierałyśmy się również kobietami, które znają PasjoDzielnę, więc frekwencja na wydarzeniach ostatecznie była optymalna.

Dlaczego zgłosiłaś się do programu „Zakorzenione”?

Od samego początku istnienia PasjoDzielni nasze działania krążyły wokół ekologii, ochrony środowiska. Ma na to pewnie wpływ fakt, że z wykształcenia jestem magistrem ochrony środowiska, ale również to, że żyjąc na wsi, mam bardzo duży kontakt z naturą i szacunek do niej. W Fundacji PasjoDzielnia realizujemy działania, które bazują na kontakcie z naturą: np. survival dla kobiet, zjazdy błotne dla mam i dzieci, zajęcia z jogi na trawie, tworzenie naturalnych kosmetyków etc. Od pięciu lat nie używamy plastikowych naczyń, a podczas większych wydarzeń – takich jak przeglądy filmowe – uczestnicy i uczestniczki przynoszą ze sobą swoje miski i kubki. Ekodziałania są dla nas normalnością i są z nami spójne. Dołączenie do „Zakorzenionych” było więc niejako kolejnym krokiem do ekoprzygody.

Chciałyśmy pogadać, więc mówię: „Natalia, wykopmy dzieciom dół i zalejmy go wodą, dzieci zajmą się sobą, a my będziemy miały chwilę spokoju”.



1



2



3



4

1 / Warsztaty rozwojowe w PasjoDzielni – 2025
2 / Warsztaty dla kobiet z psycholożką i psychoterapeutką – 2025

3 / Wydarzenie „Zaufaj naturze” w ramach programu „Zakorzenie” – 2025
4 / Survival kobiet w fundacji PasjoDzielnia – 2025



5



6



7



8

5 / Survival kobiet w fundacji PasjoDzielnia – 2024
 6 / Uczestnicy zjazdów błotnych w fundacji PasjoDzielnia – 2025
 7 / Zjeżdżalnia błotna w fundacji PasjoDzielnia – 2025
 8 / Sobota w błocie w fundacji PasjoDzielnia – 2025

Widzisz siebie w przyszłości pracującą z takimi osobami i wspierającą je w rozwoju?

Jak najbardziej. Od grudnia 2024 roku pracuję jako doradczyni kluczowa w Świętokrzyskim Ośrodku Wsparcia Ekonomii Społecznej. Moja praca w dużej mierze to pomoc grupom nieformalnym w sformalizowaniu się, czyli założeniu (fundacji, stowarzyszenia, KGW). PasjoDzielnia daje mi wiele doświadczeń (zorganizowaliśmy już ponad 450 wydarzeń), którymi z chęcią się dzielę. Mam pokaźną sieć kontaktów, które pomagają przy „sieciowaniu” osób z podobnymi potrzebami lub pomysłami, i w ten sposób pomagam, doradzam. Choć na początku zakładania organizacji nie jest kolorowo.

Podam przykład: zgłaszają się trzy pełne pasji dziewczyny, które chcą założyć KGW. Widzę ich zapał. Wciągają inne kobiety w liczbę około 50! Są podekscytowane, że tak łatwo poszło. Tworzą grupę na Facebooku, organizują pierwsze wydarzenie, na które zapisuje się 40 osób, ale przychodzi sześć, a na kolejne przychodzi pięć. Po jakimś czasie piszą do mnie, że nie mają już siły wyciągać ludzi z domu i że straciły zapał.

Tłumaczę im wtedy, że przyzwyczajanie ludzi do wychodzenia z domu i brania udziału w różnych aktywnościach to proces. Kluczowa jest zmiana sposobu myślenia u tych osób, muszą wypracować w sobie potrzebę wyjścia z domu. Jeśli jej nie wypracują, my możemy ich wyciągać raz i drugi, ale jeśli chcemy, by to miało sens, ludzie sami muszą czuć w sobie potrzebę wyjścia, brania udziału w czymś, włączenia się w aktywności. Drugim ważnym aspektem jest różnorodność działań. Ludzie są różni, interesują ich różne aktywności, więc organizacja chcąc kierować działania skierowane do szerokiej grupy, powinna też brać pod uwagę spektrum różnorodnych działań.

Kiedy zakładałyśmy PasjoDzielnę, ważne było dla nas oferowanie różnych działań: począwszy od warsztatów rękodzielniczych, przez masaże, aż do spotkania z psycholożką. Jeśli ktoś nie jest gotowy na warsztaty z psycholożką, to przyjdzie na warsztaty rękodzielnicze lub tym podobne. Ważne, żeby trafić do jak najszerzej grupy kobiet i dać im pretekst do wyjścia z domu. Ważne jest też to, by słuchać.

Wasze działania koncentrują się na zastanej przestrzeni. To piękna okolica, która nie wymagała żadnej nowej infrastruktury. Jak doszłyście do wniosku, by wykorzystać ten bardzo naturalny potencjał miejsca, w którym żyjecie?

To było nasze podstawowe założenie. Byliśmy młodą organizacją z 1000 zł funduszu założycielskiego na koncie. Na dodatek miałam Blankę, małe dziecko. Wiedziałam, że jeśli mam się poświęcać i działać społecznie, to tylko na swoich zasadach i z nią przy boku. Można powiedzieć, że naszym pierwszym działaniem było posprzątanie szopy, do której miałyśmy zapraszać kobiety. Potem,

gdy kobiet przychodziło więcej, postanowiliśmy posprzątać stodołę. Przestrzeń naszych działań rozszerzała się w sposób naturalny i spontaniczny. Nie obyło się też bez remontów (cała więźba stodoły i zadaszenie, wylewki – to wszystko dzięki zrzutkom i wsparciu przychylnych nam ludzi).

Kiedy zaczęliśmy organizować takie wydarzenia jak *survivable* dla mam i dzieci, było oczywiste, że będziemy korzystać z okolicznych zasobów natury. Organizowaliśmy wyprawy po różnych ekosystemach: łąkach, lasach, jeziorach. Dzieci robiły po powrocie „lasy w stoiku”, wkładając do nich to, co zebrali

podczas wypraw. Dużo naszych działań było też bardzo spontanicznych. Wicie jak powstała zjeżdżalnia błotna? Coś, co od czterech lat przyciąga do nas ludzi z całego kraju? Któregoś dnia przyszła do nas sąsiadka Natalia z trójką dzieci. Chciałyśmy pogadać, więc mówię: „Natalia, wykopmy dzieciom dół i zalejmy go wodą, dzieci zajmą się sobą, a my będziemy miały chwilę spokoju”. I to był strzał w dziesiątkę! Z czasem okazało się, że ludzie bardzo chcą posyłać dzieci do tego typu zabaw, ale jak masz całe podwórko wyścielone kostką, to nie bardzo jest jak. A nasze siedlisko jest dość dziewicze i idealne do korzystania z tego, co dała nam natura. Możemy organizować zjazdy błotne (teraz zjeżdżalnia ma 17 metrów długości), zabawy w kuchni błotnej, mamy też całą strefę zabaw w naturze.

Da się działać bez funduszy?

Jeśli coś ma się zadziać, to się zadzieje, nawet jeśli uczestnicy nie będą mieć dachu nad głowami. Niektórym się wydaje, że najpierw trzeba postawić budynek albo wydać pół miliona złotych, żeby przygotować teren, a potem na pewno zaczną się tam zbierać ludzie. A to zupełnie nie tak! Przykładem może być co druga miejscowość, która ma

świetlicę, OSP. Ale nic się w niej nie dzieje poza godzinami, w których dyżuruje ktoś, kto jej pilnuje. Poza tym nie ma sensu wydawać pieniędzy, jeśli nie zbadaemy oczekiwań społecznych, a tylko zgadujemy.

A co z tradycjami? Ważne jest dla Ciebie odwoływanie się do nich?

Tak, ale obok siebie mam Jacka, który ma na punkcie tradycji bzik, więc jestem osobą, która ciągnie w drugą stronę. Puszczenie wianków, spotkanie na powitanie wiosny, wigilijne spotkanie opłatkowe dla zespołu – tak, jak najbardziej. Ale moim konikiem jest przede wszystkim wzmacnianie kobiet w różnych aspektach.

Wielką siłą programu „Zakorzenione” jest to, jak bardzo różne jesteście w podejściu do tych samych spraw. Każda z Was czerpie siłę z innego źródła. Dla jednej to będzie wiara, dla innej rodzina, Ty mówisz o wewnętrznej sile.

Organizuję w PasjoDzielni takie, a nie inne warsztaty, nie naginając się przy tym do żadnego trendu. Nie patrzę na mody, a bazuję wyłącznie na potrzebach naszych odbiorczyń i na tym, co jest dla nas jako dla zespołu istotne. Potrzeba działania wokół spraw związanych z ekologią to coś, co jest bardzo spójne z moimi zainteresowaniami i pasjami oraz przekonaniami naszego Pasjo-zespołu.

Porozmawiajmy o budowaniu porozumienia ponad podziałami. Czy jest to możliwe na poziomie ekologii i ochrony przyrody?

Moje doświadczenie mówi, że tak. Wśród naszych stałych bywalczyń są dziewczyny o różnych światopoglądach, z różnym bagażem życiowym, mieszkające zarówno na wsiach, jak i w małych miasteczkach. Zależy nam na tym, aby każda z nich śmiało zabierała głos w ważnych dla siebie sprawach, nie wstydziła się swoich poglądów oraz nie oceniała drugiej osoby przez ich pryzmat. Ekologia i ochrona przyrody to zagadnienia, które bardziej łączą niż dzielą, i skłaniają do głębszych refleksji. Natomiast jeśli chodzi o budowanie porozumień na stopie fundacja – polityka, to nie są nam one do niczego potrzebne.

Skoro jesteście przy polityce – sferą Twoich zainteresowań są lokalność i codzienność. A co z potrzebą systemowych zmian?

Polityka nie leży w kręgu moich zainteresowań. Nie jestem osobą, która unosi się, słysząc decyzje jednej czy drugiej władzy. Żyję tu i teraz, a ciśnienie mogą podnosić mi sprawy, na które mam bezpośredni wpływ. Jeśli mam działać na rzecz ekologii, to tylko oddolnie. Wolę wprowadzać zmiany w głowach kilkunastu osób, zamiast przeznaczać czas dla spraw odległych i nierealnych. Jednocześnie uważam, że jako przedstawicielka PasjoDzielni nie jestem przedstawicielką wszystkich kobiet mieszkających na wsi. Kobiety są różne, mają różne potrzeby,

Niektórym się wydaje, że najpierw trzeba postawić budynek albo wydać pół miliona złotych, żeby przygotować teren, a potem na pewno zaczną się tam zbierać ludzie. A to zupełnie nie tak!

wiem o tym, bo rozmawiam z nimi na co dzień. Mówię wyłącznie w swoim imieniu. Nikomu niczego nie narzucam, a osoby, które ze mną obcuja, same muszą odnaleźć swój punkt widzenia i wypracować zdanie na jakiś temat. Dotyczy to wszystkich aspektów, również tych związanych z ochroną środowiska.

Z którego działania przeprowadzonego w ramach programu „Zakorzenione” jesteś najbardziej zadowolona?

Odpowiadam bez chwili wahania: najbardziej „moje” były działania związane z wymianą ubrań. Ponad 80 kg ciuchów znalazło wtedy nowe domy, a wiele osób zrozumiało, że wyrzucanie dobrych ubrań nie jest fajne, o wiele lepiej dać im drugie życie. Wymienię też kilka innych inicjatyw: przerabianie starych ubrań na legowiska dla psów albo drapaki dla kotów, robienie lalek motanek, a także zjazdy błotne. Był też inspiracyjne wydarzenie, jak pokaz slajdów, podczas którego uczestniczki pokazywały, co można zrobić ze starej doniczki, opon i innych tego typu odpadów.

Powiedz jeszcze o planach na przyszłość: co pilnego masz do zrealizowania? I jak widzisz swoją wieś za dekadę?

Ciągle mam w głowie wykład w ramach „Zakorzenionych” o wilkach, który poprowadziła Anna Maziuk (autorka książki „Instynkt”) i to, jak przekonać ludzi, żeby tak się ich nie bali. Tylko, że na takie działania brakuje mi czasu i przestrzeni. Robię, co mogę, w prywatnych rozmowach staram się uświadamiać ludzi. A jeśli chodzi o przyszłość wsi... skupiam się na wpływie, jaki mam na najbliższe otoczenie. Nie żyję życiem innych ludzi. Interesuje mnie przede wszystkim to, co mnie otacza. Chcę, żeby fundacja nadal się rozwijała i wspierała kobiety, i osoby lidarskie, bo inwestycja w rozwój człowieka to najlepsza inwestycja.

rozmawiały:

Natalia Borkowska, Monika Roszak, Marta Smejda, Monika Szewczyk-Wittek



Wiola Piwowska

Spółeczniczka i animatorka z ponad 10-letnim doświadczeniem, założycielka i prezeska Fundacji PasjoDzielnia w Wiązownicy-Kolonii. Wraz z zespołem kobiet zorganizowała już ponad 450 wydarzeń i warsztatów. Absolwentka Szkoły Liderów PAFW, Szkoły Trenerów Przywództwa oraz Szkoły Rzecznictwa SPLOT. Doradczyni w Świętokrzyskim Ośrodku Wsparcia Ekonomii Społecznej i ambasadorka programu „Zakorzenione”. Laureatka tytułu Liderki Równości 2023 województwa świętokrzyskiego.



Fundamentem jest wspólnota

KIEDY CHCĘ COŚ OD SĄSIADKI, TO DO NIEJ
PO PROSTU IDĘ. NIE MA POTRZEBY TELEFONOWANIA.
MIESZKAŃCY WIESZAJĄ SOBIE WZAJEMNIE
NA PŁOTACH SIATKI Z OWOCAMI, PIEKĄ DLA SIEBIE
CHLEBY I PLACKI. NIKT SIĘ TEMU NIE DZIWI,
TO JEST ZUPEŁNIE NORMALNE.

/ KAROLINA SUSKA /



**Żeby zmiana
odgórna,
systemowa miała
sens, po drodze
musi się spotkać
z oddolną.
Ludzie muszą jej
oczekiwać, czuć
jej potrzebę.**

KAROLINA SUSKA

Fundamentem jest wspólnota

Czym jest Twoim zdaniem siła kobiet?

Siła kobiet łączy się w moim odczuciu z pojęciem wspólnoty. Z działaniem w grupie kobiet na rzecz innych kobiet. To też kwestia myślenia o tym, co mogę zrobić dla innych dziewczyn i przekucia tych myśli w czyny, żeby nie skończyło się na słowach. Kobiety mają niesamowitą sprawczość. Ona czasem jest uśpio-
na, nieuświadomiona, ale za sprawą działań społecznych jesteśmy ją w stanie obudzić i jej potem wspólnie doświadczać.

Skąd wzięła się w Tobie potrzeba działania?

Od zawsze zależało mi na wdrażaniu zmian. Widziałam pewne braki we współ-
pracy, deficyty społeczne i chciałam wpłynąć na poprawę sytuacji społecz-
no-kulturalnej mieszkańców mojej społeczności. Między 2007 a 2009 rokiem
zaczęłam aktywnie pracować dla społeczności, mając głębokie przekonanie,
że moja praca może zaowocować konkretną zmianą. Zauważałam, jak wielką
fajdę daje małej społeczności fakt, że coś się wewnątrz niej zaczyna dziać:
jak ludzie się cieszą, jak mocno to przeżywają. Pojawia się cała gama emocji:
zaskoczenie, wzruszenie, obawa... Są też momenty trudne, które skłaniają do
refleksji nad dalszym działaniem. Bo jak się człowieka wybudzi z marazmu, to
się go zachęca, by oczekiwał więcej, by pozbył się przekonania, że w jego wsi
nie da się czegoś załatwić. Człowiek staje się wtedy wymagający wobec siebie
i innych.

Jakie problemy dostrzegłaś?

W mojej społeczności to był przede wszystkim temat edukacji pozaformalnej i działań międzypokoleniowych. Zależało mi na tym, żeby nauczyć ludzi uczestnictwa w działaniu. Był to cel dość ambitny, ale wynikał z obserwacji i ówczesnych doświadczeń. Zdarzało się, że ktoś chciał coś zorganizować, ale brakowało uczestników. Dlaczego? Dlatego, że ludzie nie byli nauczeni uczestnictwa, brania udziału w zajęciach dodatkowych. Nie interesował ich rozwój czy doskonalenie się. Jestem wielką fanką edukacji, uważam, że może ona zmieniać świat na lepsze. Jednocześnie wiem, że brakuje nieformalnej edukacji dla dorosłych. Ludzie są zwykle przekonani, że po skończeniu szkoły średniej lub studiów pewien etap w życiu się zamyka i nie trzeba się już niczego uczyć. A ja mam świadomość niedosytu wiedzy. Uwielbiam sama się uczyć, ale też staram się ułatwiać dostęp do edukacji najmłodszym, nastolatkom i dorosłym, wszystkim po kolei.

A co skłoniło Cię do pracy z kobietami?

To dobre pytanie, skłaniające do refleksji. Od 2012 roku pracowałam w instytucji kultury i bardzo chciałam powołać do życia jakąś kobiecą grupę, jednak wtedy jeszcze ten pomysł nie miał żadnej konkretnej formy. Nie wiedziałam, czym ta grupa mogłaby być. Potem pojechałam na WenDo, warsztaty na temat sprawczości dla kobiet. Byłam pod ogromnym wrażeniem, jak dwa dni, które

wspólnie spędziłyśmy w sali warsztatowej, wpłynęły na mnie i na uczestniczki. Dziewczyny przyjechały z różnych stron Polski, nie znały się wcześniej, a jednak wzbudzały razem wspaniałą energię. Wyszłam z tych warsztatów z myślą, że chcę stworzyć wokół siebie grupę kobiet, która regularnie się spotyka i wzajemnie wspiera. Postanowiłam rozejrzeć się, kogo mam wokół siebie, z kim mogę działać i co razem mogłybyśmy zrobić dla innych. Byłam już dyrektorką instytucji kultury w Łaziskach, do których wróciłam po studiach w Krakowie, miałam wpływ na pewne sprawy i zapragnęłam stworzyć przestrzeń, w której kobiety mogłyby się spotykać. W 2014 roku uruchomiłyśmy oficjalnie Klub Kobiet Aktywnych. Frekwencja

była świetna, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że wychodzimy naprzeciw konkretnej potrzebie. Najwyraźniej kobietom brakowało wcześniej takich działań.

To się działo w Łaziskach?

Tak, u mnie na Lubelszczyźnie. Można spokojnie powiedzieć, że dziś to moje wiejskie miejsce na ziemi, w którym mogę realizować się życiowo i społecznie.

Co widzisz, gdy dziś patrzysz na swoją wieś?

Widzę ogrom potencjału, dobrych ludzi i wspaniałą naturę. Mój dom stoi na samym końcu wsi, dalej są już tylko sady i lasy. Nocą jest zupełnie ciemno, mam nad sobą niebo pełne gwiazd, o 5:00 rano budzą mnie głośne ptasie koncerty. Pod dachem mojego domu mieszka 120 nietoperzy. To miejsce łąduje mnie niesamowitą energią. I ludzie też! Kiedy chcę coś od sąsiadki, to do niej po prostu idę. Nie ma potrzeby telefonowania. Mieszkańcy wieszają sobie wzajemnie na płotach siatki z owocami, pieką dla siebie chleby i placki. Takie zachowania są normą, nikt się im nie dziwi. W ogóle ciekawe jest to, że do Klubu Kobiet Aktywnych zaangażowałam dużo pań z całej gminy, a z mojej wsi niewiele. One po prostu spotykają się, jak i kiedy chcą. Działają też jako grupa w swoim lokalnym KGW.

Dlaczego zgłosiłaś się do programu „Zakorzenione”?

Bo czułam, że dzięki niemu będę mogła dalej iść właściwą drogą. Poza tym zależało mi na tym, by do naszych działań zaprosić dziewczyny z kolejnego pokolenia. Klub Kobiet Aktywnych miał być pierwotnie międzypokoleniowy, ale dziś dominują w nim panie w wieku 50+. Powodów jest oczywiście wiele, młodsze dziewczyny mają na głowie dzieci, muszą zajmować się ich szkołą, organizować życie domowe. Niewątpliwie dołączenie do programu „Zakorzenione” pozwoliło nam zbliżyć się do tej grupy wiekowej.

Jak dotarliście do młodszych?

To kwestia odezwania się, komunikacji, dotarcia do odpowiedniej osoby. Mam w grupie liderki dwie dziewczyny, które świetnie czują się w tematach związanych z naturą. Można powiedzieć, że się w nich specjalizują, i one w sposób oczywisty stały się łączniczkami z resztą społeczności. Informacje rozchodziły się pocztą pantoflową, rozbudowywałyśmy sieć kontaktów. To był efekt kuli śnieżnej. Najważniejsze, żeby nie stać się hermetycznie zamkniętą grupą, aby być nieustannie otwartym na nowych ludzi i ich pomysły. Oczywiście często jest tak, że osoby z zewnątrz czują pewien opór przed dołączeniem do już istniejącej grupy. Zastanawiają się, czy będą pasować. Ale grupa jest silna również

Moją specjalnością jest perspektywa małej społeczności, tego, co dzieje się w organizacjach na wsi. I właśnie ją staram się zajmować w ramach ministerialnej Rady Kobiet.

tymi, którzy do niej dołączają na późniejszym etapie. Możemy się pochwalić, że broni nas jakość. W działaniach, które proponuję, już dawno odeszliśmy od imprez z motywem przewodnim, jakim jest disco polo i kiełbasa z grilla. Ponad ilość w działaniu społecznym zdecydowanie bardziej wolę jakość, nawet kosztem tego, że nie będzie przypadkowych osób, a przyjdą tylko zainteresowani.

Kobiety na wsi są często orędowniczkami lokalnych tradycji i zwyczajów. Czy i Ty lubisz się do nich odwoływać?

Tak, choć nie nazwałabym tego fundamentem moich działań. Tym fundamentem jest niewątpliwie wspólnota. Gdy pracowałam w domu kultury, rozwijaliśmy zespół folklorystyczny, który zresztą funkcjonuje do dziś. W jego repertuarze są piosenki o regionie, o Wiśle, wodzie, sadach, o tym, co w naszej okolicy najcenniejsze. Ten zespół zaspokajał i zaspokaja potrzebę lokalnego patriotyzmu. Natomiast jeśli chodzi o moją pracę z kobietami, to nieustannie powtarzam dziewczynom, że nie wszystkie muszą się ubierać na ludowo – co kto lubi. Współtworzyłam kilka kół gospodyń i nigdy nie było w nich przesadnej ludowizny, a jeśli już się pojawiała, to często w oderwaniu od tradycji regionu. Nie jestem etnografką, jest we mnie zgoda na pewne drobne zapożyczenia, ale porusza mnie, gdy kobiety z Lubelszczyzny zakładają na przykład podhalańskie spódnice. Współpracuję też ze Stowarzyszeniem Kobiet „Łaziszcanki”, które zarejestrowało tradycyjny produkt kulinarny. Są to gołąbki z kaszą jaglaną. Kuchnia pojawia się jednak w mojej pracy rzadko. W działaniach społecznych stawiam na rozwój osobisty, na edukację. Nie zależy mi na tym, żeby we wsi pojawiła się kolejna pani z pokazem kremów do rąk, które ludzie pod presją grupy kupują, bo przecież nie wypada nie kupić, skoro pani tak ładnie o nich mówiła.

W 2024 roku przeprowadziłaś diagnozę, dzięki której zidentyfikowałaś obszar przyszłych działań. Co ustaliłaś?

Diagnoza była odpowiedzią na pytanie, w jakim kierunku działać w „Zakorzenionych”. Motywem przewodnim okazała się woda traktowana jako zasób, gdyż jest to temat, który jest rzeczywiście istotny dla mieszkańców mojej gminy. W sezonie prac sadowniczych ludzie często odczuwają brak wody w kranach. Mieszkam w uprzywilejowanej części miejscowości, gdzie problemów z wodą jeszcze nie ma, ale zdarza się, że ludzie, którzy żyją dwa kilometry dalej, muszą jeździć po nią do sąsiadów. Punktem wyjścia do naszych działań w ramach „Zakorzenionych” było stwierdzenie, że problem jest realny i trzeba się nim zająć. Dlatego też zajęłyśmy się edukacją w tym zakresie. Zrealizowałyśmy cykl warsztatów, konferencję, a także działania twórcze, które mają zachęcić ludzi do oszczędzania wody i jej zasobów. Drugim tematem stał się nadmierny konsumpcjonizm. Wszyscy mamy skłonność do kupowania niepotrzebnych przedmiotów, które

potem wyrzucamy albo marnujemy. Nie umiemy dawać rzeczom drugiego życia ani ich naprawiać. Coś się zepsuje – wyrzucamy. To samo dotyczy jedzenia i produktów sadowniczych. Przetwórnia, która skupuje jabłko przemysłowe, nie kupuje gruszki, więc jeśli się tej gruszki nie sprzeda na giełdzie albo w lokalnej grupie producenckiej, to ona u rolnika, który nie ma chłodni, poleży tydzień w gospodarstwie, a potem trafi do lasu. O tyle dobrze, że zwierzęta się najedzą. Niektórzy rolnicy w naszej okolicy wciąż nie mają chłodni, są też tacy, którzy nie chcą ich uruchamiać, bo koszt działania takiej chłodni to w skali roku kilkanaście tysięcy złotych. Gdy ceny owoców są niskie, uruchamianie chłodni po prostu im się nie opłaca. Opłaty za prąd pochłoną wszelkie zyski ze sprzedaży.

Czyli nadmierny konsumpcjonizm jako temat działań.

Chcemy uczyć sąsiadki i sąsiadów, by stawiać na jakość, a nie na ilość, by dzielić się tym, co się ma, co nam zostaje. Zachęcamy do wymiany zamiast kupowania. Miałyśmy któregoś dnia gorącą dyskusję w kręgu i co chwilę słyszałam od dziewczyn: „Chciałabym się nauczyć, co zrobić z rzeczami, które zostają w lodówce. Jak wykorzystać to, jak wykorzystać tamto...”. Wszystkie czułyśmy, że to są tematy ważne i istotne, tym bardziej że w naszej grupie są młode kobiety i one – zresztą ja też – nie mają pewnych umiejętności, które kiedyś na wsi były czymś naturalnym, jak choćby kwestia obsługi maszyny do szycia i naprawiania ubrań. Jeśli ktoś nie umie szyc na maszynie, to dziurawy ciuch po prostu wyrzuci. Rozwiązanie narzuca się samo i jest w zasięgu ręki.

To wszystko bardzo ważne postawy indywidualne, zmiany, które każdy może wdrożyć we własnym domu. A co ze zmianami systemowymi? Jesteś członkinią Rady Kobiet przy Ministrze Rolnictwa. Czy na tym forum starasz się mówić o zmianie ogólniej?

Żeby zmiana ogólna, systemowa miała sens, po drodze musi spotkać się z oddolną. Ludzie muszą jej oczekiwać, czuć jej potrzebę. Nie może być tak, że jedna dziewczyna na sto w danej wsi czegoś się domaga. Cała wieś musi tego chcieć. Faktem jest, że dotychczas w naszej społeczności w ogóle nie mówiło się o kwestiach ochrony przyrody czy o oszczędzaniu wody. Mało kto był

**Postanowiłam
rozejrzeć się,
kogo mam wokół
siebie, z kim
mogę działać
i co razem
mogłybyśmy
zrobić dla
innych.**



1 / Warsztaty rozwojowe dla KGW Pełna Chata – 2025

2 / Spotkanie „Regionalne dla przyrody” w ramach programu „Zakorzenie” – 2024

3 / Konferencja regionalna „O wodzie i przyrodzie” w ramach programu „Zakorzenie” – 2025

4 / Działanie sąsiedzkie pod nazwą „W jesiennym sadzie” – 2025



6



5



7

5 / W plenerze Karolina i Reksio – 2025

6, 7 / Konferencja regionalna „O wodzie i przyrodzie” w ramach programu „Zakorzenione” – 2025

skłonny do refleksji na temat marnowania jedzenia. Te nawyki zaczęły wyrabiać się dopiero niedawno. Owszem, jestem w Radzie Kobiet przy Ministrze, rozmawiamy tam o podejściu systemowym, często również w kontekście ogromnych gospodarstw, o których nie mam fachowej wiedzy. Moją specjalnością jest perspektywa małej społeczności, tego, co dzieje się w organizacjach na wsi i właśnie tym staram się w ramach ministerialnej Rady Kobiet zajmować. Chciałbym też, aby rodzaj działań, które prowadzimy w „Zakorzenionych”, szedł dalej w Polskę. Żeby się rozszerzał na inne regiony, powiaty, województwa i żeby wsie w całej Polsce mogły doświadczać tego, co my mamy u siebie. Ten proces jest długi, droga wyboista, ale kiedy dotrze się już do odpowiedniej grupy kobiet, można z nimi robić wspaniałe rzeczy. To się nie może odbywać na zasadzie: „Przyjedziemy i was nauczymy”. Raczej: „Zapraszamy was do uczestnictwa, bądźcie w tym z nami”.

Jesteś doświadczoną organizatorką. Jakie masz sposoby na wciąganie w działania tych, którzy nie są do tego przekonani?

Od razu przypomina mi się Mały Książę z Lisem. To piękna opowieść o przyjaźni. Trzeba takie osoby powoli, ostrożnie oswajać z tematem. Mówić „możesz”, a nie „musisz”. „Chcesz, to przyjdź”. Ważną rolę odgrywają osoby, które są już zaangażowane w działania, bo stają się ich ambasadorami. Swoją osobą zaświadczały o słuszności obranej drogi. Opowiadają, co przeżyły, czego się nauczyły, co się działo i tym samym zachęcają do współudziału. Sama tak zaczynałam. Szłam do lokalnej sołtyski na kawę i zamiast rozmawiać o pogodzie, opowiadałam jej o swoich planach. Tłumaczyłam, że będę robić takie i takie rzeczy, i że będę do tego szukała lokalnych sojuszniczek. Moje słowa szły dalej i trafiały do kolejnych osób. Zresztą w ramach spotkań „Zakorzenionych” zawsze wspominam dziewczynom, że mogą kogoś ze sobą przyprowadzić. W tym roku zadzwoniła do mnie pani z innej gminy i mówi: „Pani Karolino, słyszałam, że macie u siebie spotkania o przyrodzie, bardzo chciałabym dołączyć”. Od razu ją zaprosiłam. Dziś ta kobieta przyjeżdża do nas z dwiema innymi koleżankami. Do takich efektów dochodzi się metodą małych kroków.

Czy ta metoda oznacza również to, że dotykacie wyłącznie małych spraw? Czy zajmując się ochroną środowiska, powinno się mieć na sztandarach również duże i głośne hasła?

Trzeba mówić przede wszystkim o zagadnieniach dotyczących wyborów podejmowanych codziennie w każdym gospodarstwie domowym. Nie znoszę marnowania żywności, mówię na ten temat przy każdej okazji, więc prędzej czy później słyszę pytania o porady. Wtedy zapraszam do naszego grona. Ale ważne jest również, żeby za słowami szły czyny. Kiedy kończy się jakieś spotkanie,

a nam zostało jedzenie, zawsze proszę o pudełka i pakujemy wszystko na wynos. Takie małe, spójne kroki prowadzą w końcu do dużej zmiany.

Z którego działania w ramach „Zakorzenionych” jesteś najbardziej dumna?

Z ubiegłorocznej konferencji regionalnej „Zakorzenione – dla środowiska lokalnego”, zorganizowanej w sierpniu 2024 roku. Wydarzenie to było zwieńczeniem wszystkich dotychczasowych działań: spotkań, szkoleń i warsztatów tematycznych. W konferencji udział wzięli zarówno eksperci od tematów wodnych, jak i szerokie grono mieszkanek powiatu opolskiego. Po części teoretycznej uczestniczki wydarzenia brały udział w warsztatach, na których tworzyły krople zachęcające do oszczędzania wody.

Jestem też bardzo dumna z tego, że wiele pań przyszło sadzić lawendę, a potem podzieliły się dyżurami, by ją pielęgnować i podlewać. Gdy widzę jak ta lawenda rośnie, rozpiera mnie duma, bo jest dowodem na to, że pojawiła się wśród nas prawdziwa współpraca. Troska o wspólne dobro. Jesteśmy grupą skłoną do pracy na rzecz otoczenia, ciągle nam mało wspólnych działań, ciągle mamy pomysły. Aktualnie jestem też po kolejnej konferencji w ramach programu „Zakorzenione”, która została zorganizowana pod hasłem „O wodzie i przyrodzie”. Tegoroczna konferencja była okazją do tego, by wysłuchać prelekcji tematycznych na temat zasobów wodnych, pójść na spacer badawczy z przyrodnikiem, wymienić się roślinami i ubraniami, a także dawała szansę na uczestnictwo w warsztatach tematycznych. Ponadto w trakcie jej trwania była możliwość obejrzenia wystawy fotograficznej „Energie”. Obie konferencje cieszyły się dużym zainteresowaniem w lokalnej społeczności. W każdej z nich udział wzięło ponad 50 uczestniczek.

Na koniec chcemy Cię poprosić o odrobinę wizjonerstwa: jaka będzie Twoja wieś za 10 lat? Opowiedz o swoich marzeniach.

Mam nadzieję, że leśnicy nie wytną nam wszystkich lasów, które mamy dookoła. I że tak jak w maju pięknie kwitną jabłonie, tak dalej będą kwitnąć, a wśród nich będzie latać mnóstwo ptaków, pszczoł i motyli. Ale żeby tak się stało, musi się zmienić mentalność ludzi w kontekście świadomości ekologicznej i dbania o zasoby naturalne miejsca, w którym żyjemy, a wraz z nią ich stosunek do świata przyrody. Chciałabym, aby dzisiejsze dzieciaki, które za 10 lat będą już dorosłymi, miały zupełnie inną świadomość konsekwencji swoich codziennych wyborów i decyzji: czyli żeby natura pozostała taką, jaką jest dziś, ale żeby ludzie pod względem świadomości byli o krok dalej.

rozmawiały:

Natalia Borkowska, Monika Roszak, Marta Smejda, Monika Szewczyk-Wittek



Karolina Suska

Socjolożka, edukatorka i trenerka, od lat działająca na rzecz kobiet i społeczności wiejskich. Absolwentka Szkoły Liderów PAFW i Akademii Liderów Kultury, certyfikowana trenerka WENDO i stypendystka MKiDN. Członkini Rady Kobiet przy Ministerstwie Rolnictwa, prowadzi szkolenia dla kół gospodyń wiejskich i lokalnych liderów. Autorka projektów takich jak „Kobiece lato!” czy „Sąsiedzkie spotkania z...”. Ambasadorka EPAL Polska i twórczyni strony „Kobiety na wsi by Karolina Suska”.



fot. Jakub Szymczuk

Nauka rozmawiania

NAJWIĘKSZYM SUKCESEM JEST TO, ŻE LUDZIE NA WSI
ZACZĘLI BRAĆ ODPOWIEDZIALNOŚĆ
ZA SVOJE OTOCZENIE I ZA WSPÓLNOTĘ.

/ AGNIESZKA WĄCŁAWSKA-HANKUZ /



**Ludzie
zaczęli dbać
o wspólne
dobro.**

AGNIESZKA WĄCŁAWSKA-HANKUZ

Nauka rozmawiania

Skąd wzięła się Twoja pasja związana z pracą społeczną na rzecz środowiska?

Pochodzę ze wsi Żarnowica w Małopolsce. Przyroda od zawsze była moim naturalnym otoczeniem, czymś, gdzie czuję się najlepiej. Wybór kierunku studiów był więc oczywisty: biologia i geografia to dziedziny bliskie naturze i człowiekowi. Nauczyłam się, że to powiązane światy, że w przyrodzie nieustannie kwitnie współpraca. Z kolei w naszej wsi nie działo się nic. Na jednym ze spotkań wiejskich ustaliliśmy, że trzeba powołać jakąś organizację, która będzie w stanie zdobywać fundusze, i może uda się nam rozruszać wieś. Jesteśmy małą wioseczką, nikt o nas nie dba, nikt się nami nie zajmuje, więc jeśli sami tego nie zrobimy, to nic się nie zmieni.

Kogo masz na myśli, mówiąc „my”?

My, czyli mieszkańcy. Założyliśmy w Żarnowicy Koło Gospodyń Wiejskich.

Opowiedz trochę o tych osobach.

W tej chwili są nas 23 osoby, w tym czterech panów. Jestem jedną z młodszych osób w kole. Większość ma między 50 a 60 lat, pozostałe panie to seniorki po sześćdziesiątce; mieszkanki małopolskiej wsi, całe życie utrzymujące się z rolnictwa.

Spółeczeństwo jest przekonane, że działania na rzecz ochrony przyrody to coś, co przyszło z „zewnątrz”, co zostało nam narzucone.

I doszłście do wniosku, że coś trzeba zrobić?

Mogę mówić tylko za siebie. Jak długo żyję, obserwuję ogromne zmiany zachodzące w moim otoczeniu. Mało tego, ogromne jest też ich tempo. Pola uprawne wyglądają zupełnie inaczej niż 30 lat temu, a więc w czasach, gdy sy-pałam kwiatki po Komunii. Wtedy szło się na pole, żeby je pozbierać, po prostu rosły pomiędzy pszenicą czy żytem. Dziś te uprawy są czyste, jednorodne, niczego pomiędzy nimi się nie znajdzie. Nie tylko kwiatów jest tam coraz mniej – zmieniają się nasze ogrody, wszystko jest uboższe. Moim celem było zatrzymanie tych zmian. Uświadamianie ludziom, co dzieje się z naszym światem

– przecież wcale nie jest tak, że ludzie robią to wszystko umyślnie. Po prostu nie są świadomi, jak bardzo ich codzienne decyzje wpływają na otoczenie. Jeśli natomiast chodzi o motywacje innych osób z koła, podejrzewam, że istotnym czynnikiem jest religia. Chodzi o przekonanie, że należy szanować to, co Bóg dał nam pod opiekę, o tradycje związane z pielęgnowaniem ziemi, o przekazywanie tych tradycji z pokolenia na pokolenie.

Tymczasem ekologia jawi się nam dziś zwykle jako domena ludzi postępowych, uciekających od tradycji. Dlaczego?

Bo ten termin – ekologia – jest współcześnie źle pojmowany. Społeczeństwo jest przekonane, że działania na rzecz ochrony przyrody to coś, co przyszło z „zewnątrz”, co zostało nam narzucone. Mało kto rozumie ekologię jako coś, co jest u nas praktykowane od dawna, tylko nikt tego tak nie nazywa. Weźmy Zielony Ład, który zakłada, że jakaś część gospodarstwa ma być wyłączona z użytku. Przecież to jest coś, co nasi dziadkowie zawsze robili, ale teraz rolnik słyszy, że ktoś go do tego zmusza i to jeszcze pod groźbą kary.

Powszechne pojmowanie ekologii sprowadza się do tego, że ktoś obcy daje nam zakazy i nakazy, a przecież my wiemy najlepiej, jak należy gospodarzyć. Dlatego naszym celem w ramach „Zakorzenionych” jest edukacja. Żeby te wszystkie wielkie słowa, takie jak ekologia, stały się zrozumiałe; żeby ludzie przestali mieć wrażenie, że mierzą się z jakimś potworem.

Żeby oprócz haseł były też konkrety i rozwiązania?

Praktyczne rozwiązania. Chcemy opowiadać, co każdy z nas może zrobić samemu, we własnym domu. Wyjaśniać rzeczy, które czasami padają bez objaśnienia tła; na przykład to, dlaczego nie wolno palić w piecu mokrym drewnem. Dla wielu osób takie uzasadnienie to są nowe informacje.

Jak udało Ci się przekonać ludzi, żeby za Tobą poszli?

Na pewno było trudno, bo byłam od nich młodsza i miałam inne pomysły na koło gospodyń niż pozostałe panie. Wydaje mi się, że tym, co je przekonało, były pierwsze efekty naszych działań. Pierwsze działania ekologiczne podjęliśmy za pośrednictwem programu „W Kole Natury”, realizowanego przez Fundację Rzecz Społeczna. Znalazłam ogłoszenie i zapisałam nas z myślą, że zobaczymy, co z tego wyniknie. Potem był pierwszy wyjazd, pierwsze warsztaty, panie zobaczyły, że zadziało się coś fajnego, czyli wcale nie było tak, że od samego początku padło hasło „wszystkie ręce na pokład”. Potrzeba było czasu, żeby panie zrozumiały, o co chodzi.

Czy można powiedzieć, że działania prośrodowiskowe stały się też sposobem na wzmocnienie więzi w Waszej społeczności?

Za każdym razem to podkreślam. Chcę, żeby panie brały odpowiedzialność za to, co robią. Największym sukcesem jest to, że ludzie na wsi zaczęli brać odpowiedzialność za swoje otoczenie, za wspólnotę. Mamy społeczny ogród, dogadujemy się, kto będzie plewił, kto przekosi trawę. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek otoczenie remizy wyglądało lepiej niż dziś. Wszystko jest uporządkowane i każdy czuje się odpowiedzialny za to, żeby tak było. Sukcesem nie są tylko działania ekologiczne, ale też to, że scaliliśmy się jako wspólnota. Ludzie zaczęli dbać o dobro wspólne.

Ale wśród Waszych działań są też te ukierunkowane konkretnie na ekologię, choćby związane z redukcją emisji zanieczyszczeń. Czy na tym polu też zauważyłaś zmianę?

Na pewno nikt nie pali przy mnie plastikiem. Wydaje mi się, że jest świadomość po pierwsze tego, jak bardzo jest to szkodliwe, po drugie, że może zepsuć piec. Ostatnia zima była łagodna, więc być może nie jest to najlepszy wskaźnik, ale wyraźnie czułam, że powietrze we wsi jest lepsze, czystsze. Na pewno nie jest tak, że nagle wszyscy przejrżeli na oczy, ale coś się w tym temacie zaczęło dziać.



1



2



3



4



5



6



7

1 / Warsztaty z aromaterapii – wrzesień 2024

2, 3 / Tworzenie ogrodu społecznego, nasadzenia ziół – 2024

4 / Warsztaty z przygotowania herbat ziołowych – 2025

5 / Tworzenie naturalnych wieńców na Wszystkich Świętych – 2024

6 / Tworzenie naturalnych maści z ziół – 2024

7 / Tworzenie ekologicznych wieńców bożonarodzeniowych – 2024

Jest jeszcze drugi temat – to Wasza rzeka. Opowiedz o niej.

Rzeka płynie przez środek wsi, ale jej koryto jest w większości puste i zarosnięte. To wszystko naturalne procesy. Rzeka, w której brakuje wody, zarasta krzewami i inną roślinnością, więc gdy tylko przychodzi jakaś woda, okazuje się, że koryto nie ma zdolności niesienia tej wody. Tymczasem nasze domy leżą w większości na terenach zalewowych. Moja ciocia opowiadała mi kiedyś, że ludzie potrafili sobie radzić z wylewami. Stawiali ogrodzenia z wikliny, które przekierowywały wodę na łąki, bo łąki pełniły funkcję magazynowania wody. Teraz mamy intensywniejsze rolnictwo, ludzie chcą wykorzystać każdy skrawek przestrzeni i jednocześnie zapominają, że Żarnowica leży w dolinie rzecznej. Wystarczy silniejszy deszcz padający kilkanaście kilometrów od nas, a woda i tak trafi do naszej wsi i nie pomieści się w korycie.

Jak chcecie sobie z tym radzić?

Dla większości jedynym rozwiązaniem problemu jest pogłębienie rzeki. A ja wiem, że pogłębianie to droga donikąd, bo jak przyjdzie fala, to woda i tak nie zmieści się w korycie. Natomiast przy okazji obniżymy poziom wód gruntowych i za chwilę będziemy płakać, że mamy suszę. Niestety zwykle jest tak, że ludzie nie słuchają tych, którzy są najbliżej, bo nie widzą w nich autorytetów. Natomiast jeśli przyjedzie pani z Wód Polskich i zacznie opowiadać o tym, żeby kopać suche zbiorniki albo oczka wodne, to nieważne, że wcześniej mówiłam to samo. Ta pani jest urzędniczką i jej należy słuchać. Tak samo było, gdy tłumaczyłam, że palenie plastikiem powoduje raka płuc. Nikt mnie wtedy nie słuchał, ale gdy to samo powiedział kardiolog, którego wszyscy we wsi znają, to potem przez dwa tygodnie słyszałam, że rzeczywiście tak jest. Wiem, że moje tłumaczenia nie zdadzą się na nic, jeśli nie poprę ich opinią eksperta z dyplomem.

Co więc Twoim zdaniem powinno się zrobić?

Zbudować suchy zbiornik przed wsią. On wyłapywałby falę powodziową i pozwoli rozprzecznić ją po okolicy. Ustyszałam od wójta, że jeśli znajdzie rolnika, który zgodzi się, żeby jego pole stało się takim zbiornikiem, to on zdobędzie na to pieniądze. Jesteśmy na tym etapie. Chcę zorganizować spotkanie, na którym objaśnimy sobie drogę działania. Bo jeśli mam kogoś przekonywać, by poświęcił się dla pozostałej części wsi, to muszę mieć mocne argumenty. Musimy się też wszyscy dowiedzieć, w którym miejscu taki zbiornik byłby najbardziej opłacalny.

Być może taka jest rola liderów społecznych: pośredniczenie w kontaktach z innymi instancjami. A jak układa się Wasza współpraca z samorządem?

Nasze relacje z gminą są raczej neutralne.

To jak Twoim zdaniem powinna wyglądać idealna współpraca z gminą?

Chciałabym, aby wszystkie organizacje non profit, które działają na terenie gminy, miały szansę na realizację swoich pomysłów. Aby promowano współpracę między organizacjami i niestandardowe dla KGW działania. Należałoby dać szansę wszystkim. Co roku jesteśmy pytani o nasze oczekiwania wobec wydatkowania finansów gminy, jednak nasze pomysły nie otrzymują dofinansowania.

Skąd czerpiesz inspirację do działania?

Chyba z życia... Jestem raczej domatorką, ale jednocześnie wiem, jak wiele mogą nam dać spotkania i rozmowy z innymi ludźmi. One otwierają nas na nowe doświadczenia. Dzięki nim możemy uczyć się na cudzych błędach, bez popełniania własnych. Dlatego od początku starałam się jak najwięcej jeździć, spotykać z ludźmi, wymieniać doświadczeniami i po prostu się uczyć.

A które z Waszych dotychczasowych działań było dla Ciebie najważniejsze?

Najważniejsze, ale nie dla mnie, tylko dla całej społeczności, były warsztaty rozmawiania. Projekt, w którym uczyliśmy się prowadzenia dialogu. Dzięki niemu zauważyłam ogromną zmianę w tym, jak wyglądają nasze spotkania. Wcześniej czasem musiałam upominać nasze panie, że wymieniają się pokątnie jakimiś informacjami w trakcie trwania takiego spotkania, że sobie szepczą. Tłumaczyłam im, że prowadzący może ich zachowanie odebrać niezgodnie z ich intencjami. Może je uznać za oznakę braku zainteresowania. Sama jednak doskonale wiedziałam, że one szepczą, bo czują się zainspirowane tym, co słyszą, i dlatego muszą niezwłocznie podzielić się swoim doświadczeniem z sąsiadką, wymienić opiniami. Teraz widzę ogromną zmianę. Widzę, że nauczyłyśmy się rozmawiać i słuchać innych.

Poza tym jestem dumna z tego, że udało się nam zbudować sieć wzajemnych powiązań. Stworzyć grupę. Powiem zupełnie szczerze, że to udało się głównie dzięki Waszej presji i namowom, by próbować. Bo na początku było tylko bodaj sześć dziewczyn, które chciały w to wejść dwiema rękami i nogami. Inne trzeba było mocno namawiać. Szczególnie, gdy słyszały, że będą musiały robić coś same. Tłumaczyłam im, że jesteśmy wszystkie razem, ale mamy

**Bo jeśli
mam kogoś
przekonywać,
by poświęcił się
dla pozostałej
części wsi,
to muszę mieć
mocne
argumenty.**

jakąś pulę projektów, którymi musimy się podzielić, że na pewno nie będzie tak, że zostaną z tym same – na pewno będę je wspierać w tych działaniach.

Co dał Ci udział w programie „Zakorzenione”?

Program na pewno otworzył mnie na inne społeczności i inne organizacje. To dzięki Wam zachęciłam naszych mieszkańców do działań proekologicznych, ale również stworzyłam sieć kobiet, które chcą działać w tej tematyce w swoich społecznościach. Nie ukrywam, że wykorzystuję tę sieć również w innych projektach, dzięki czemu nasze organizacje zaczynają ze sobą współpracować.

To jak wyobrażasz sobie Żarnowicę Twoich marzeń za 10 lat?

Chciałabym, żeby wieś była pełna dzieci. Nie mamy ich prawie wcale, a ja uwielbiam pracować z dziećmi. Jestem przeszczęśliwa za każdym razem, gdy na naszych warsztatach pojawia się jakieś dziecko, czyli oby było jak najwięcej dzieci. Chciałabym też, żeby ludzie byli w swojej wsi szczęśliwi, żeby rozpieęła ich duma z miejsca, w którym mieszkają. I żeby czuli się zgraną społecznością.

rozmawiały:

Natalia Borkowska, Monika Roszak, Marta Smejda, Monika Szewczyk-Wittek



Agnieszka Węclawska- -Hankuz

Przewodnicząca Koła Gospodyń Wiejskich w Żarnowicy, ambasadorka programu „Zakorzenione” działająca na terenie Małopolski. Działania społeczne podejmuje na rzecz rozwijania KGW oraz mobilizowania lokalnej społeczności do aktywności. Główne tematy jej zainteresowań to: ekologia, edukacja, integracja mieszkańców oraz rozwijanie zaplecza socjalnego wsi.



fot. Silvia Pogoda

Nie jestem dyplomatką

JEŚLI CHCEMY MIEĆ WE WSI SZKOŁĘ,
TO NIE MA WYJŚCIA – TRZEBA ZAKASAĆ RĘKAWY.

/ KRYSTYNA ZABRZEWSKA /





**Zamiast
krzyczeć,
wolę
działać.**

KRYSTYNA ZABRZEWSKA

Nie jestem dyplomatką

W jakich okolicznościach zaczęła się Twoja praca na rzecz lokalnej społeczności?

Chyba jeszcze w dzieciństwie. Byłam dzieckiem zafascynowanym światem – ludźmi, przyrodą, każdym nowym doświadczeniem. Cieszyło mnie dosłownie wszystko. Najpierw trafiłam do gromady zuchowej, a później do harcerstwa, w którym pełniłam kolejne funkcje w strukturze organizacyjnej: zastępowa, przyboczna, drużynowa; jako instruktor ZHP zdobyłam stopień harcmistrza. Był to okres kształtowania mojej kreatywności, koordynowania działań pracy w grupie, a przede wszystkim w terenie. Biwaki, obozy, rajdy, gry terenowe były podstawą wszelkich aktywności.

Warto podkreślić, że okolicznością sprzyjającą tego typu inicjatywom był fakt, że z zawodu jestem nauczycielką. Praca w szkole dawała przestrzeń do podejmowania wielu działań społecznych. Po pięciu latach pracy nauczyciela zostałam dyrektorką. Dostrzeżono moją energię do działania i zaproponowano mi objęcie tego stanowiska. Wtedy nie byłam pewna, czy sobie poradzę, więc zapytałam dyrektora sąsiedniej szkoły, co o tym sądzi. Powiedział mi tylko: „Spróbuj! Jak nie spróbujesz, to się nie przekonasz”.

No to spróbowałam. Funkcję dyrektorki pełniłam 34 lata. Najpierw była to filia szkoły podstawowej w Poroninie, 45 albo 50 uczniów. Mnóstwo się w niej działo. Prowadziłam harcerstwo: obozy, biwaki, gry terenowe, malowaliśmy murale, mieliśmy kino. Ponadto miałam rodzinę – trzy córki, to wszystko było bardzo absorbujące.

Byłaś zaangażowana na sto procent w działania na rzecz lokalnej społeczności?

Nie znałam określenia „nie da się”. Cały czas walczyłam dla dobra szkoły. Zostaliśmy pierwszą w regionie szkołą, w której była skomputeryzowana biblioteka. Najpierw mieliśmy jeden komputer, Commodore na dyskietki, starałam się, żeby jak najlepiej wykorzystać jego potencjał. Marzyło mi się tych komputerów więcej. Znalazłam projekt, w którym można było dostać dofinansowanie do takiego zakupu, ale byłam kompletnie zielona, jeśli chodzi o tego typu procedury. Koleżanka podsunęła mi regulamin, czytałam go i nic nie rozumiałam. Jakby to było napisane w zupełnie innym języku niż polski. Nie odpuściłam. Przygotowałam projekt. Niestety, okazało się, że szkoła nie może złożyć wniosku, ponieważ nie ma osobowości prawnej. Wówczas organ prowadzący – gmina Poronin – nie była zainteresowana tą inicjatywą. Co mi zostało? Założyć stowarzyszenie. Wtedy też postanowiłam coś z tym brakiem wiedzy zrobić. Ukończyłam Studia Podyplomowe Zarządzanie Funduszami Unijnymi.

I tak powstało Stowarzyszenie Rozwoju Podtatrza, Twoja pierwsza organizacja.

Tak. W 2008 roku założyłam stowarzyszenie, żeby móc samodzielnie składać wnioski o dofinansowanie, ale był też drugi powód. Pracowałam w małej wiejskiej szkole, a w tamtych czasach zamykano placówki, w których uczyło się mniej niż stu uczniów. Gdyby pojawiło się takie zagrożenie wobec szkoły, stowarzyszenie mogłoby przejąć prowadzenie placówki. Taka była wola rodziców naszych uczniów i większości nauczycieli. Jako stowarzyszenie z osobowością prawną mogliśmy działać. I tak postaraliśmy się o dofinansowanie na utworzenie przedszkola. Dostaliśmy duże środki na modernizację budynku i wyposażenie. Gmina Poronin została naszym partnerem. Przedszkole działało 14 lat, w tym roku musimy je zamknąć z powodu trudności lokalowych. Tak czy inaczej, dla społeczności lokalnej gminy Poronin i powiatu tatrzańskiego pozyskałam łącznie w dotacjach ponad 4 miliony złotych. Liczba uczestniczących w projektach realizowanych przez SRP przekracza 3,5 tys. osób. To wszystko odbywało się w stowarzyszeniu, które nie miało żadnych etatów. Wszyscy działali wyłącznie wolontariacko. Okazjonalnie pojawiało się wynagrodzenie dla koordynatora lub na prowadzenie księgowości w ramach konkretnego projektu.

Poza pracą kochasz również góry...

Kocham świat. Zwiedziłam trochę miejsc za granicą, ale to góry zajmują w moim życiu szczególne miejsce. Jestem osobą zauroczoną kamieniem – jego fakturą i barwami, które zmieniają się o każdej porze dnia. Mogę stać i patrzeć na nie bez końca. Byłam kiedyś u córki w Los Angeles. Miasto przytłoczyło mnie

od pierwszej chwili – wszędzie tylko budynki, szerokie ulice i nieustanny ruch. Beton, szkło i asfalt zdawały się nie mieć końca. Dla kogoś przyzwyczajonego do przestrzeni, zieleni i gór był to prawdziwy koszmar, miejsce pozbawione oddechu. Córka wyczuła, że męczę się w blokowisku, więc zabrała mnie na przejażdżkę nad jakiś strumień. Już nawet nie pamiętam, co to było za miejsce. Pamiętam tylko wzgórze, skały, strumyk. Zupełnie jak u nas, w Tatrach! Łzy mi poleciały ze wzruszenia.

Umiłowanie górskiego krajobrazu to dla Ciebie przejaw lokalnego patriotyzmu?

Znam mentalność zacieklej góralicy, baby z charyzmą, co to weźmie się pod boki i robi, co trzeba zrobić. Sama trochę taka jestem. W społeczności Podhala każdy zna się na wszystkim, każdy „wie lepiej”, a jednak bez odważnych i upartych ludzi nic się nie rusza. W takim środowisku charyzma i siła charakteru bywają zarówno błogosławieństwem, jak i przekleństwem.

Nie da się być prorokiem we własnym kraju. Ubolewam nad tym, co dziś dzieje się z Zakopanem. Dawniej serce Podhala, dziś raczej tygiel, w którym miesza się wszystko i wszyscy, a góralskie spojrzenie na świat coraz częściej jest wypierane.

Tymczasem Podhale pęka w szwach od podziałów. Jedna grupka patrzy spode łba na drugą, każdy wie najlepiej i każdy tak kurczowo trzyma się swojej racji, że nie ma mowy o słuchaniu innych. I w takich realiach spróbuj, człowieku, wyjść z inicjatywą! To wymaga nie tylko odwagi, ale i ogromnego zaparcia, bo każdy krok stawia się tu niemal pod prąd. Cokolwiek się robi, trzeba być bardzo ostrożnym. Nie da się po prostu powiedzieć góralom: „Macie robić tak, a nie inaczej”. To wymaga dużej dyplomacji, a tej sztuki nigdy do końca nie opanowałam. Widzę jednak, że wśród nas zachodzą zmiany – coraz częściej spotykam ludzi, którym naprawdę leży na sercu dobro tego miejsc

Czy w takim razie da się na Podhalu łączyć troskę o środowisko z głęboko zakorzenioną tradycją?

Da się, bo tradycja jest bardzo mocno zakorzeniona w miejscu, w którym ludzie żyją. Dla osób z zewnątrz pasterstwo to po prostu trywialny, malowniczy

**Bo lubię
doświadczać
nowych rzeczy,
lubię świat,
ale najbardziej
ciągnie mnie
do tego, co mamy
u nas pod
Tatrami.**



1 / Warsztaty zielarskie – przygotowanie smużek, prowadziła dr Małgorzata Wesołowska – Poronin, 2024

2 / Spektakl związany z Nocą Kupały „Opowieści wiejskich Dziewuch” – Poronin, 2025

3 / Dom Tradycji w Chochołowie – spotkanie z dr Moniką Warchałowską – „W kręgu (E)Kobiet” o mocy ziół – 2024

4 / Plenerowe warsztaty wykonywania zabawek drewnianych podczas Europejskich Targów Produktów Regionalnych w Zakopanem – 2024



5



6

zwyczaj. Tymczasem ono jest korzeniem albo kręgosłupem wszystkiego, co tu powstało. Wokół pasterstwa rozwinęła się gospodarka, potem kultura i struktury takie jak rodzina, wiara, dom. Kalendarz liturgiczny był nierozzerwalnie związany z przyrodą, z cyklami pór roku, więc niemal każde działanie aktywizujące na Podhalu będzie siłą rzeczy dotyczyć tematów mocno zakorzenionych w tradycji. Dlatego zwracam też uwagę, by angażować do moich działań osoby mające korzenie na Podhalu, które są odbierane jako ludzie stąd. Anna Mlekodaj, profesor Akademii Nauk Stosowanych w Nowym Targu, ma ogromną wiedzę na temat regionu, a do tego mówi piękną literacką gwarą. Krzysztof Trebunia-Tutka jest z kolei osobą rozpoznawalną medialnie, uznaną i kojarzoną z podhalańskimi tradycjami.

Ale wśród Twoich pomysłów są też takie, które poruszają zagadnienia związane z nowoczesnością. Choćby kwestia produkowanych w Chinach pamiątek, które turyści kupują na Podhalu.

Dawniej jechało się na Podhale po to, by kupić pamiątkę wykonaną przez lokalnego twórcę ludowego. To były miejsca pracy dla ludzi stąd, którzy zamiast wyjeżdżać, prowadzili małe warsztaty rękodzielnicze i dzięki nim wiązali koniec z końcem. Potem to zniknęło, pojawił się produkt chiński, o wiele tańszy. Jednym z moich pomysłów było propagowanie dziedzictwa Podhala związanego z produktem wełniarskim. Owca to surowiec i powód, dla którego ludzie osiedlili się na Podhalu. Dawniej całe życie toczyło się wokół niej. Owca nas karmiła, ubierała, dawała zarobek. O owcy śpiewano pieśni, o owcy układano opowieści. Cała kultura społeczna wyrastała z wypasów, z własności ziemi i z poszanowania każdego jej metra kwadratowego. To właśnie przy owcy gazdowie uczyli się społecznej polityki i tego, jak funkcjonować wśród innych.

Dlatego tak bardzo zależy mi, by wszystkie warsztaty, które organizujemy – a robimy ich od trzech lat naprawdę wiele – opierały się na gospodarowaniu tym, co mamy tu, wokół siebie.

Oszczędzanie czy niemarnowanie jedzenia to są wszystko zachowania mocno ugruntowane wśród starszych mieszkańców, więc jeśli do kogoś trzeba o tym mówić, to raczej do młodych.

Jednym z Twoich pomysłów była próba zainicjowania rozmowy na ten temat również z podhalańskimi hotelarzami. Turystyka daje mieszkańcom Podtatrza środki do życia, a nam, osobom z zewnątrz, umożliwia przebywanie w pięknym przyrodniczo miejscu.

Jeżdżę po świecie, obserwuję, jak funkcjonują hotele w różnych zakątkach globu. I bardzo boli mnie, gdy widzę przejawy marnotrawstwa. Zawsze mam skwaszoną minę, gdy ktoś każe mi kserować coś, co ma już swoją kopię cyfrową albo

gdy widzę, jak wyrzuca się jedzenie z przyhotelowych restauracji. Jako stowarzyszenie już wcześniej współpracowaliśmy z hotelami, w ramach działań z Tatrzańską Izbą Gospodarczą. Zrealizowaliśmy projekt pn. Utworzenie szlaku kulinarnego „Smaki Podhala”, w którym uczestniczyło 15 restauracji. Każda miała certyfikowane przez nas konkretne danie. Chodziło o promocję baraniny, serów, pstrąga. Twarzą tego projektu byli mistrz kulinarny Robert Sowa oraz Sylwester Lis, restaurator z Kościeliska, znany z programu telewizyjnego „MasterChef”.

Z tej współpracy wyniknął kolejny projekt: Ekocertyfikat – lokalna marka kojarzona z filozofią życia w zgodzie z naturą, wartościami przyrodniczymi, kulturowymi i ochroną przyrody – lokalna ekocertyfikacja hoteli i pensjonatów. Ich właściciele wykazali, że hotel jest samowystarczalny w kwestii ogrzewania. Żadnego opalania, same nowoczesne rozwiązania, termomodernizacja, gospodarowanie wodą, efektywność energetyczna. W powiecie tatrzańskim certyfikowanych zostało kilkanaście obiektów.

Z tego miał zrodzić się zakrojony na szeroką skalę projekt ogólnopolski, ale tym razem nie wyszło. Wszystko wymaga środków finansowych i czasu. Zabrakło jednego i drugiego, co nie oznacza zaniechania pomysłu.

W ramach programu „Zakorzenione” udało Ci się za to stworzyć aktywną sieć liderów zaangażowanych w sprawę ochrony przyrody.

Nasze inicjatywy mają charakter aktywizujący – chodzi w nich o włączanie innych ludzi. Tworzymy grupę osób zainteresowanych kilkoma obszarami w tym: środowiskiem, tradycją oraz zdrowiem – psychicznym i fizycznym. Coraz częściej dostrzegamy, że te dziedziny przenikają się i idą ze sobą

w parze. Nie da się troszczyć o jedno, zaniedbując drugie – granice coraz bardziej się zacierają. Na przykład jedna z liderów zachęcała do praktykowania kąpieli leśnych. Opowiadała o filozofii kontaktu z naturą, przeżywania zmysłami, pobudzanie emocji, o dobrodziejstwie przebywania wśród drzew, o uważności na każdą gałązkę i listek. Podkreślała, że człowiek wychodzący z lasu jest wyciszony, ukojony i spokojny. Widziałam zachwyt w oczach kobiet, które nagle uświadamiały sobie, jakie bogactwo mają dosłownie na wyciągnięcie ręki.

Często nie doceniamy tego, co mamy tuż obok. To, że mogę budzić taką świadomość w członkach rodziny, w sąsiadkach i wśród bliskich, daje mi ogromny impuls do dalszego działania.

Skąd czerpiesz inspirację do pracy?

Z obserwacji. Świat jest taki piękny, tyle by się chciało w nim zrobić! Mam głowę pełną pomysłów. Lubię działać. Planuję aktywności nie tylko dla siebie, ale też dla innych. Organizuję i sama biorę udział w prawie wszystkich warsztatach, bo wszystkiego chciałam się nauczyć, wszystko umieć. Nie zawsze mi się to udaje, nie do wszystkiego mam talent. Kiedyś miałam problem z niesprawnością rąk. Na warsztatach, które organizowałam, nie byłam w stanie zawiązać strzępków do chusty góralskiej tak, jak należy, ale bardzo chciałam się tego nauczyć. Gdy tylko wyzdrowiałam, próbowałam dalej – i w końcu dałam radę. Bliska jest mi idea, że wszystkiego trzeba spróbować samemu, wszystkiego doświadczyć na własnej skórze. Tę moją ciekawość świata nieustannie chcę przekazywać innym.

Był czas, kiedy bardzo przejmowałam się tym, że ktoś wychodził z wydarzenia niezadowolony, bo po prostu mu się nie podobało lub nie było to w obszarze jego zainteresowań, że nie trafiłam w gusta. Tak bardzo chciałam dogodzić wszystkim. Dziś patrzę na to spokojniej. Akceptuję to, że każdy ma do tego prawo.

Z którego z dotychczasowych działań jesteś najbardziej dumna?

Trudne pytanie. Myślę, że jest to budowa nowej szkoły w Suchem – pierwsza wbita łopata pod budowę. Szkoła była inicjatywą mojego życia. Stan budynku placówki mieszczącej się w drewnianym „Domu Orłów”, wybudowanym przez Antoninę Tatar, pierwszą kobietę, która została prezesem Związku Podhalań, wymagał interwencji. W związku z tym zainicjowałam powołanie społecznej komisji budowy szkoły w Suchem. Pierwsze działania sfinansowaliśmy ze składek komisji. Poruszenie było ogromne, we wsi działy się cuda. Jednak inicjatywa przerosła finansowo małą wieś, trzeba było szukać pomocy u samorządów, więc zostałam radną za sprawą głosów oddanych przez mieszkańców. Udało mi się doprowadzić do tego, że samorząd przejął finansowanie tej szkoły.

Dawniej jechało się na Podhale po to, by kupić pamiątkę wykonaną przez lokalnego twórcę ludowego. To były miejsca pracy dla ludzi stąd, którzy zamiast wyjeżdżać, prowadzili małe warsztaty rękodzielnicze i dzięki nim wiązali koniec z końcem.

W 2002 roku placówkę poświęcił kardynał Franciszek Macharski. Wydarzenie odbyło się w sali gimnastycznej, a nie w kościele, tak jak chcieli ks. proboszcz i ówczesny wójt, w sali, która zamiast podłogi miała klepisko! Kardynał przystał na moje zaproszenie, żeby uroczystość odbyła się w przestrzeni szkolnej. Ale jak się ludzie zawzięli, to w jedną noc zwieźli deski i zbili podłogę. W sali gimnastycznej powstał ołtarz. Pamiętam ten dzień, płakałam ze wzruszenia, ba, cała wieś płakała, bo nikt się nie spodziewał, że dożyje dnia, w którym kardynał Macharski przyjedzie do nas święcić szkołę.

Nadano jej imię Antoniny Tatar, wyjątkowej społeczniczki, nauczycielki, góralki, skrytki, fundatorki „Domu Orłów”, której pamięć przywróciłam lokalnej społeczności. Poznałam jej działalność i stała mi się ona bardzo bliska. Zmarła w roku moich urodzin. Z tą szkołą związałam się nie tylko zawodowo, ale całą sobą. To jest dzieło mojego życia. Żał było ją opuszczać, ale takie jest życie. Na emeryturze realizuję się w trzecim sektorze. Z bagażem doświadczeń otwierałam nowy rozdział.

Jak udało Ci się włączyć w to działanie aż tyle osób?

Potrzeba jest podstawą wspólnych działań. Wtedy buduje się trwałe relacje dla sprawy. Jeśli chcieliśmy mieć szkołę we wsi, nie było innego wyjścia – trzeba było zakasać rękawy i działać razem. W tamtych czasach ludzie angażowali się w coś zupełnie inaczej niż dzisiaj. Wystarczyło poprosić kogoś o pomoc, a on od razu odpowiadał: „jasne, zrobię to”. Życie płynęło wolniej. Ludzie mieli mniej obowiązków służbowych, więc łatwiej dostrzegali, co jest naprawdę ważne dla społeczności. Szkoła stała się ideą, która jednoczyła wszystkich. Nagle poczuliśmy, że możemy osiągnąć coś wielkiego. Ludzie zobaczyli we mnie lidera, który mógł ich poprowadzić, i poszliśmy razem naprzód. To był czas pełen energii, radości i nadziei – naprawdę wspinały czas.

Czy zmiana dotycząca myślenia o przyrodzie mogłaby być podobnym celem, który połączy ludzi?

Trudno powiedzieć. Zbudowanie szkoły to cel, który przynosi wymierny, widoczny efekt – obiekt. Ludzie chcą wiedzieć, co konkretnie wyniknie z ich zaangażowania. Chcą mieć coś, czego będą mogli dotknąć.

Angażując do działań w na rzecz ochrony przyrody, bazujemy na świadomości i efektach w odległym czasie: chodzi o to, by naszym dzieciom i wnukom żyło się lepiej. Taki cel jest znacznie trudniejszy do uchwycenia i przekonania innych, ponieważ zazwyczaj jest niewymierny, a rezultat nie jest w zasięgu ręki. Najbardziej chciałabym, żeby potrzeba dbania o środowisko zrodziła się naturalnie w każdej społeczności, była czymś naturalnym jak chleb powszedni – żeby nie trzeba było nikogo do tego namawiać, przekonywać.

Jakie jest Twoje zdanie na temat ulicznych protestów, nawoływania do zmian za pomocą krzyku? W dużych miastach często doświadczamy sytuacji, w których na przykład młodzi ludzie w głośny sposób domagają się zaangażowania na rzecz klimatu. Oblewają farbami pomniki albo blokują ulice.

Nie da się ukryć, że część społeczeństwa potrzebuje takiego sposobu wyrażania się. Jednak i w tej części są dwie grupy. Pierwsza to ci, którzy lubią bunt, lubią angażować się w zjawiska anarchistyczne. Angażują się w awanturę głównie dlatego, że jest awantura. Ale są też osoby, które w pełni wierzą w to, co mówią. Są przekonane, że jeśli wyjdą na ulicę, nie będą nic niszczyć, za to wykrzyczą swoje płynące z serca racje, to przekonają innych. Popieram takie działanie. Niech się wykrzyczą, niech powiedzą, co im leży na sercu, ale sama na ulicę nie wyjdę. Zamiast krzyczeć, wolę działać.

Wspominałaś, że nie jesteś dyplomatką, że czasem trudno Ci się ugryźć w język. Czasem głosisz niepopularne poglądy. Poruszasz tematy, które nie są dla innych wygodne. Domagasz się zmian, a jednak funkcjonujesz na Podhalu. Jak Ci się to udaje?

Różnice w poglądach i stanowiskach to rzecz normalna, znoszę to z pokorą. Jeszcze się nie zdarzyło, żebym się z kimś skonfliktowała. Jeżeli nam nie po drodze..., to jest dróg wiele, można iść swoją. Ale łatwo nie jest. Każda inicjatywa społeczna wymaga przekonywania innych do wzięcia w niej udziału i tu jest moja słaba strona – brak dyplomacji. Kiedyś koleżanka powiedziała mi: „Wiesz co, Krysia, ty to jesteś Franca, będziesz mi życie organizowała, jakbym sama nie potrafiła”. Wiem, że czasem mówię coś, co zabrzmieć nie tak, jakbym tego chciała, czasem tak protekcyjnie, że może budzić opór, szczególnie w środowisku, które „wie lepiej”. Nie przywiązywałam do tego szczególnej wagi. Przekonywanie kogoś, do czegoś, co w sposób oczywisty jest dla

Często nie doceniamy tego, co mamy pod nosem. To, że mogę tę świadomość wzbudzać w członkach mojej rodziny, w sąsiadkach, osobach bliskich, jest dla mnie bardzo silnym bodźcem do dalszego działania.

jego dobra, wydawało mi się zbędne. Błąd! Należę do osób, które więcej robią, niż mówią. Obca była mi postawa „pustostlowia”. Po prostu robiłam jeden projekt za drugim. Dopiero teraz, na emeryturze, mam więcej czasu na media, na Facebooka, na promocję inicjatyw, ale w kontekście informacyjnym a nie „gwiazdorzenia”. Teraz wiem, że umiejętne docieranie z informacją to jedno z ważnych działań marketingowych przed planowaniem wydarzenia.

Podjęcie się organizowania inicjatyw społecznych to spore wyzwanie, ale też pole do osiągnięcia ogromnej satysfakcji. Świadomość udanej inicjatywy społecznej jest bardzo budująca, daje poczucie wewnętrznego spełnienia i własnej wartości. To mnie napędza.

A co oznacza dla Ciebie przynależność do programu „Zakorzenione”?

Czuję przynależność do grupy, która myśli podobnie do mnie. I czuję, że zostałam dostrzeżona. Do tej pory skupiałam się na działaniach tu, na Podhalu. Nagle dostałam szansę spotkania kobiet z całej Polski, z zupełnie różnych miejsc, różnych środowisk, których pochodzenie i specyfika zawodowa są zupełnie inne, a jednak dążą one do tego samego celu co ja. Kontakty z innymi dziewczynami w ramach „Zakorzenionych” są dla mnie bardzo inspirujące.

Jak widzisz swoją „małą ojczyznę” za 10lat?

Jestem pełna nadziei, że będzie zadbana. Każdy będzie umiał zadbać o własny ogródek, a wszystkie te zadbane ogródki złożą się nam na całą planetę.

rozmawiały:

Natalia Borkowska, Monika Roszak, Marta Smejda, Monika Szewczyk-Wittek



Krystyna Zabrzewska

Góralka z Poronina, emerytowana nauczycielka i wieloletnia dyrektorka szkoły. Założycielka Stowarzyszenia Rozwoju Podtatrza, od lat zaangażowana w działalność społeczną i edukacyjną. Otwarta na świat i ludzi, czerpie energię z relacji i traktuje trudności jako wyzwania. Laureatka licznych wyróżnień, w tym Srebrnego Krzyża Zasługi, odznaczeń Rzecznika Praw Dziecka oraz tytułu Koordynatora Roku 2024.



www.zakorzenione.org

www.polskaznatyry.org.pl

www.nawzajem.pl

www.fundacijafarma.pl

www.facebook.com/groups/uczmysienawzajem

www.facebook.com/groups/soltyski

